№ 102. Lwów — Czwartek dnia 4 Maja. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct. w Niemczech 1 „ 60 „ w innych Państwach 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 „ [illegible] równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł.
Numer kosztuje we Lwowie . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 ct.
Numera z poprzednich dni po 10 ct.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy gości z zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o [illegible]

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłaty [illegible] przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct.
W drobnych ogłoszeniach
tłustym petitem za każde słowo 2 ct.
tłustym garmondem „ „ 3 ct.
koresp. prywatne „ „ 4 ct.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 30 ct.
Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petit 80 ct.

Dziś: | św. Floryana | Fteodora S.
Jutro: | św. Piusa V Pap. | Heorhya M.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 4 m. 43
Zachód „ „ 7 m. 11

Długość dnia godzin 14 m. 28
Przybyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 3 maja.

P. d'Estournelles de Constant, znany i poważany dyplomata francuski ogłosił rozprawę, w której zwraca uwagę nie już Francyi, ale całej Europy na niebezpieczeństwa grożące ze strony jej współzawodników, których widzi głównie na dalekim Wschodzie, przedewszystkiem zaś w Japonii. W ostatnich czasach nieraz na tem miejscu zwracaliśmy uwagę na ów przedmiot, ale wskazówki niebezpieczeństwa się mnożą, świeże dokumenta przybywają, nowe występują ostrzeżenia. Nie chodzi tu wcale o jakieś wojenne i zaborcze niebezpieczeństwa, jakiemi rasie białej zagrozić może rasa żółta, gdyby znalazła sobie nowego Tamerlana lub Czyngishana. Wprawdzie Japonia dowiodła, że może stać się groźnem mocarstwem wojskowem, że posiada bardzo do tego podatny materyał, tak dobrze w ludziach jak i w moralnem usposobieniu swych żołnierzy, umiejących nietylko doskonale maszerować, znosić cierpliwie bardzo ciężkie trudy, składać dowody przykładnej karności, ale nawet zdobywać się nieraz na prawdziwe bohaterstwo. Jak świadczy wydana w Londynie historya wojny chińsko japońskiej („Compiled from japanese-chinese and foreign sources), bohaterstwem odznaczali się nietylko oficerowie, ale nawet niejednokrotnie zwyczajni szeregowcy, których nazwiska a niekiedy i portrety podaje cytowane przez nas dzieło. Oficerowie japońscy należą do klasy wychowanej w wojennej tradycyi honoru, pojmowanego wprawdzie w pewien właściwy Japończykom sposób, w każdym razie stawianego bardzo wysoko, a odznaczającego się wielką pogardą śmierci. Żołnierze za to zwyczajnym sposobem brani są na lat pięć z ludu przez spis i losowanie jak w Europie, bez żadnych rozróżnień klasowych. Oficerowie też czy to lądowi, czy morscy, ci ostatni zwłaszcza, dziwili swych europejskich kolegów umiejętnością prowadzenia żołnierzy, znakomitem manewrowaniem, wedle najlepszych europejskich mistrzów i talentów. Coraz więcej znawcy przyznają, że gdyby nie interwencya Rosyi, Niemiec i Francyi, Japończycy, urwawszy półwysep Liao-Tung i usadowiwszy się na nim, za lat kilka w jakiej nowej wojnie byliby podbili Chiny i rządzili niemi w jakiejbądź formie, chociażby protektoratu. Liczebnie nawet są oni potężniejsi od Tatarów Mandżu, którzy przed trzema wiekami podbili Chiny i do tej chwili je trzymają przez swą dynastyę.

Że Japończycy, nie mając sprzymierzeńca, ustąpili wobec interwencyi trzech wielkich militarnych mocarstw, nikt dziś nie widzi w tem ujmy. Owszem, uznają powszechnie bystrość ich politycznego sądu, który się nie dał zaślepić tryumfami odniesionemi w Chinach, ale rozumnie obliczywszy własne ówczesne siły i potęgę trzech nowych przeciwników, nie narażali się na nierówną na morzu walkę, że woleli sprawę odłożyć i lepiej się na przyszłość przygotować, ku czemu nowych i dość obfitych środków dostarczyła im wojna chińska, tak w formie zdobyczy Formozy, jak w formie kontrybucyi wojennej.

Lecz nie ten fakt, iż Japonia niebawem wystąpi na arenę światową jako piąte, czy może nawet czwarte pod względem militarnej potęgi mocarstwo, przeraża p. d'Estournelles. Widzi on niebezpieczeństwo przedewszystkiem w niedomaganiu i niemocy Europy.

„Jakaż to choroba — pyta. — Czy to po prostu starość? Nie, to nietylko starość, to znużenie, następstwo najprzód przesilenia się, następnie współzawodnictwa. Europa od lat pięćdziesięciu żyła zanadto. Rozwinęła nadmiernie swą produkcyę, poświęciła swe rolnictwo dla swego przemysłu, a temu przemysłowi dała taki rozwój, iż może towarami swemi zaopatrzyć świat cały. Wynalazła parę, zniosła odległości i wyobrażała sobie, że ona sama jedna korzystać będzie z tego postępu, który ją w upojenie wprawiał. Wzięła na siebie olbrzymie ciężary, powiększyła niesłychanie nietylko swe wydatki wojenne, ale także swe potrzeby zbytku, swe użycie; rozpaliła, rozszerzyła cześć bogactwa, zadłużyła się. A teraz, gdy przyjęła na siebie przeróżne zobowiązania, gdy te nawyknienia i żądze w krew jej weszły, gdy jej pragnienia palącemi się stały, źródła, które miały ją orzeźwiać, wysychają. Zaczyna spostrzegać, że nietylko wyroby jej maszyn przebyły morza, ale że i same maszyny za niemi poszły, że one rozbudziły zamorskie ludy do życia przemysłowego, że pozwalają im nietylko wystarczać samym sobie, ale że zamiast kupować nasze wyroby, naprzód sami je dla siebie wyrabiają, następnie swe wyroby w miejsce naszych innym sprzedają. Słowem maszyna zamieniła konsumentów w sprzedawców, a naszych klientów w współzawodników. Stany Zjednoczone dały pierwsze hasło do tej emancypacyi. Za ich przykładem, ku naszej i ku ich szkodzie, cały świat poszedł. W Ameryce środkowej i południowej, w Australii, w Indyach, w Japonii występują współzawodnicy—i zamykają się nasze targi wszędzie, z wyjątkiem Afryki... Bardzo bliską jest chwila, a dla niektórych już nadeszła dla wielu płodów, że korzystniej konsumentowi europejskiemu kupować je na targach Ameryki lub Australii, aniżeli we własnym kraju. Jakiż będzie los producenta, jakiż rolnika? Jakiż będzie los robotnika, zmuszonego stać bezczynnie, bez roboty? Producent będzie miał przynajmniej jaki taki zaoszczędzony zapas, ale robotnik mieć go nie będzie. Cóż się więc stanie? Oto zagadka, straszna zagadka!... Jak szybko poszły rzeczy! Gdy dwadzieścia lat temu pszenica kosztowała we Francyi 35 franków za centnar, mówiono tylko o konkurencyi Rosyi. Dziś nietylko już północna, ale i południowa Ameryka produkuje zboże bez miary. Za nią idą odmłodzone Indye wschodnie. Australia z niesłychaną szybkością rozwija swe specyalne zasoby, pomimo szczupłej ludności, a za nią zaraz kroczy ledwie co zrodzona Afryka wschodnia... Wszędzie pobudowano ekonomiczne koleje żelazne. Patrzcie na Indye. Pomimo kłopotów, jakie tam wywołuje przesilenie monetarne, połączono z Himalajami Kalkutę, Bombay i Madras. Wszystkie rolne bogactwa tej ziemi obiecanej są wyzyskane i ściągnięte ku morzu, czem ich wartość potrojono. Przebycie oceanu kosztuje dziś mniej i mniej czasu zabiera, aniżeli podróż z Paryża do Marsylii przed 50-ciu laty. Statki parowe współzawodniczą z sobą. Węgiel nietylko już w Europie się znajduje: mają go w Australii i Japonii, co obniża koszta przewozu, a węgle te już idą do San Francisco i Bombayu. Przewidują ekonomiści, że wkrótce będzie można z korzyścią wysyłać je nawet do portów angielskich! Cóż się zaś stanie — a chwila to może nie daleka — gdy wynajdą paliwo mniej zabierające miejsca od węgla, jak naprzykład nafta. Jakaż to będzie pokusa dla grożącym nam współzawodników!

„Ale czyż tylko rolnictwo samo jest zagrożone? Niedawno mówiono: przyszłość należy do przemysłu, rolnictwo nic już nie znaczy w Europie. Toż samo hasło powtarzano w Stanach Zjednoczonych. Dziś nieco inaczej na rzeczy patrzą... Bodajbym był najfałszywszym z proroków; bodajby jakaś niespodzianka, jakiś wynalazek niedorzecznemi zrobił obawy moje i wykazał, że Europa jest jeszcze młodą i przepełnioną zasobami... Jeżeli jednak przesadzam niebezpieczeństwo, warto przecież myśleć o niem, mówić o niem, bo konkurencya zagrażająca Europie jest powodem wszystkich jej kłopotów, niedomagania, niemocy, na które cierpi.. To przekonanie, że Europa jeszcze młoda i zasobna, ukróciłoby wiele nienawiści, wiele starć, nie już wewnętrznych, ale i międzynarodowych — oba razem, bo pomyślmy tylko: jeżeli w czasie pokoju każde wielkie bezrobocie węglarzy angielskich ściąga natychmiast dowóz węgla japońskiego do kolonij wielkobrytańskich, powiększając jego produkcyę i sprzedaż, a odbierając Europie z takim trudem zdobyte targi, to cóżby to było, gdyby miliony naszych robotników powołano do pułków, gdyby produkcya Europy stanęła nagle i pozwoliła zająć swe miejsce przeróżnym konkurentom bardzo na to czekającym i czyhającym... Oto powód, dla którego Europa, cała Europa, pomimo tylu trudności, tylu powikłań tak ją trapiących, nigdy tak szczerze i tak gorąco nie pragnęła pokoju; bo wojna nie byłaby tylko wojną, ale początkiem czasów nowych, nieprzeniknionych, a których nierozjaśnione ciemności przerażają nas...“

Co i o czem piszą.

Autor drukujących się w *Czasie* artykułów p. t. „Choroby Galicyi“ zalicza do owych chorób zanik pierwiastku władzy – tę niezdolność rządzenia i podlegania rządom. Jest to choroba stara, tem groźniejsza, że powrotna. Mówią o niej wszyscy lekarze nasi polityczni od trzech wieków. Od braku rządu zaczyna Ostroróg owe czternaście punktów do naprawy Rzeczypospolitej potrzebnych — o nierządzie szeroko rozpisuje się Modrzewski i Starowolski — gromi go Skarga proroctwem cudzej niewoli. W naszych czasach Szujski w świetnej rozprawie „Dawna Rzeczpospolita i jej pogrobowcy“ bezrządowi poświęca kilka wymownych kart. — Stwierdza on, że nie brakiem urzędów i instytucyi, nie brakiem praw wzmogła się anarchia w dawnej Polsce — ale winą zatracenia pojęcia rządu i władzy, winą upadku poszanowania prawa w narodzie. Historyk publicysta każe nam sięgnąć we własną piers i zapytać się, ażali z tego jest w nas poprawa? — Dalej autor tak pisze:

Dwadzieścia pięć lat od tej pory minęło, a kto się zaprzągł do tego woza publicznego interesu, który zagrzązł już nietylko w błocie bezpłodnych walk politycznych, ale tonąc zaczyna w bezdni anarchizmu? I znów, jak ongi nie brakiem urzędów i instytucyi, nie brakiem praw i przepisów doszliśmy do bezrządu, ale podkopaniem w nas samych poczucia prawa i poszanowania władzy.

Jak się to zaczęło, co się na to składało, abyśmy w Galicyi powrócili do tego zatarcia instynktów porządku, zwierzchnictwa i rządu, jak ongi za Rzeczypospolitej?— lecz w warunkach trudniejszych, bo dziś samowola nie idzie od możnych lub od gminu szlacheckiego: ona masy ludowe zaczyna ogarniać; nie zagraża budowli politycznej, ale już organizm społeczny rwie na kawałki.

Początki wewnętrznej naprawy wiele rokowały. Trzydzieści lat temu, na czele rządu stał wyjątkowy w Polsce mąż stanu, co rozumiał, jak wywierać posłuch i kierować maszyną rządową. Kraj wydobywał się z kleszczy obcej, nie tyle nawet nienawistnej, ile zaśniedziałej i niedołężnej biurokracyi. Młodzież polska rzuciła się do urzędów — sejmy deliberowały nad urządzeniem gminy i nad ową źrenicą swobód, autonomią krajową.

W pojęciu tej autonomii było już pewne skrzywienie. Dobra ona jako ochrona przed centralizmem wiedeńskim i szablonem liberalnym — niewystarczająca jako kamień węgielny pod budowę własnego rządu. W organizacyi ustawodawczej nie chodziło o to, aby stworzyć rząd krajowy od góry na dół, zapewnić warunki administracyi, ująć czynnik władzy w ręce i na nim oprzeć prawdziwy samorząd. Podzielono kwestye administracyjne na dwie sfery: jedną autonomiczną, drugą państwową, pierwszą tylko uważając za własną, drugą za jakiś obcy pierwiastek. Im pierwsza sfera więcej się rozszerzy, a druga ścieśni — tem większa zdobycz dla kraju.

Tak spaczono pojęcie o istocie rządu.

Połowiczność zawsze wątpliwe, często szkodliwe wydaje owoce. Dziś mamy wieś bez rządu — oddaną na opiekę Pana Boga, a czasem przechodzącego żandarma, który nie jest władzą, ale organem bezpieczeństwa.

Zanik pierwiastku władzy rozwijał się nietylko skutkiem wadliwego dualizmu w ustroju administracyjnym, lecz przeważnie skutkiem wpływów radykalnych dziennikarstwa i agitatorów.

Od wielu lat rozpoczęło się to działanie podkopywania powagi nauczyciela wobec uczniów, wszelkiego zwierzchnika wobec podwładnych, lekceważenia wszelkiej władzy. Znaczna część dziennikarstwa pod hasłem liberalizmu ten kierunek popierała, stając zawsze po stronie tych, co się wyłamywali z koniecznego rygoru i nadzoru. Wzmagający się skutkiem tych wpływów i podniet duch oporu i niekarności, oddziaływał niejednokrotnie na te czynniki, które miały i prawo i obowiązek wykonywania tego rygoru i nadzoru. Częste niestety bywają przykłady słabości, a nawet zupełnej abdykacyi odpowiednich organów wobec ogólnego prądu. Błędne nawet pod tym względem ustalały się pojęcia.

Od młodzieży, przechodząc do młodszych cywilizacyjnie warstw społecznych, do ludu — jakież tam spostrzegamy spustoszenie skutkiem osłabienia pierwiastku władzy! Nie mówiąc już o zupełnym bezrządzie w samej gminie — ileż razy lud ten patrzeć i słuchać musi na poniewieranie wszelkiego zwierzchnictwa i wszelkiej władzy: od kościelnej zacząwszy aż do władzy rządowej, od zwierzchnika duchownego do zwierzchnika społecznego.

Z kilkuset wieców, odbytych w ostatnich latach, możnaby zebrać całą antologię przykładów pod tym względem, najwstrętniejszych i najbardziej rażących. Ileż razy publicznie głoszono rzeczy wręcz przeciwne istotnym stosunkom prawnym i administracyjnym, aby potem uderzyć z największą namiętnością na tych obszarników, którzy podatków rzekomo nie płacą i „żywią się krwawicą ludu!“ Wszystkiego tego słucha reprezentant rządu bez protestu i zaprzeczania.

W łonie ludu dwa są wrodzone poczucia: religia i powaga rządu. Gdy obie naraz bywają tak systematycznie podkopywane, cóż pozostaje hamulcem, cóż więzią społeczną i rękojmią zdrowia i przyszłości? Pękają wszystkie zapory i wlewa się potokiem zalew pojęć anarchicznych.

A niech nam nie mówią, że to jest koniecznem następstwem wolności konstytucyjnych. — Tych wolności prototypem pozostaje Anglia — a nigdzie ta miłość wolności silniejszej niż tam nie znajduje podstawy i rękojmi w poszanowaniu prawa i uległości funkcyonaryuszom rządu. W Rzeczypospolitej francuskiej rząd jest radykalny i franmasoński, ale rząd spełnia swoje funkcye normalnie i ściśle. U nas zanik pierwiastków władzy wypływa ze słabości rządu. Słabość ta zaś rozwija się częstokroć pod wpływem względów politycznych. — Wszystko się składa na ołtarzu polityki, i czyniąc ustępstwo po ustępstwie — dochodzimy do stanu bezrządu i anarchii.

O teatrze.

I.

Z okazyi postawionego w krakowskiej Radzie miejskiej wniosku p. Bartoszewicza o objęcie teatru krakowskiego we własny zarząd miasta i z powodu przeprowadzonej nad tym wnioskiem dyskusyi w Radzie i w prasie, wydał redaktor *Dziennika Polskiego* p. Mieczysław Schmitt broszurkę pt „Kilka słów o teatrze“, w której zastanawia się w ogóle nad sprawą obejmowania we własny zarząd teatrów, czy to przez miasto, czy przez kraj, a przy tej sposobności wypowiada bardzo cenne, ogólne uwagi. Wartość ich jest tem większa, że materyał empiryczny, stanowiący ich podstawę, pochodzi od rzeczoznawcy, gdyż p. Schmitt był, jak wiadomo, sam przez kilka lat dyrektorem sceny lwowskiej i miał dość sposobności do poczynienia gruntownych doświadczeń. Teraz zaś, gdy p. Bartoszewicz, motywując swój wniosek o objęcie teatru krakowskiego we własny zarząd gminy, całą winę — jego zdaniem — złego stanu scen stołecznych przypisuje przedsiębiorczemu charakterowi dotychczasowych dyrekcyj, poczuwa się p. Schmitt do obowiązku zabrania głosu w obronie obwinionych. Chcąc rzecz wyjaśnić gruntownie, zawadzać autor musi i zawadza o kwestye zasadnicze.

Pierwszą a zarazem najogólniejszą kwestyą, którą zajmuje się p. Schmitt jest pytanie: „Czem właściwie powinien być teatr?“ Kwestyę tę, nadzwyczajnie ważną, bo w odpowiedzi na to pytanie tkwi zarazem punkt wyjścia dla każdego kierownictwa teatru, załatwia p. Schmitt w ten sposób:

„Jakie jest zadanie teatru wogóle, a specyalnie u nas?“ — zapytuje autor i tak pisze:

„Odpowiedzi na to pytanie nikt dotąd nie wynalazł, ani skromnem mojem zdaniem nie wynajdzie. Nie ulega bowiem kwestyi, że od najdawniejszych czasów, po dziś dzień, teatr był, jest i będzie przedewszystkiem miejscem i źródłem rozrywki, z wyjątkiem specyalnych wypadków, jak przedstawienia „pasyjne“ lub t. p. Z innego punktu widzenia absolutnie wyjść niepodobna, nie udawały się też wszelkie próby, czynione w kierunku nadania teatrowi cechy przybytku o charakterze pouczającym lub umoralniającym. Jedyny wyjątek stanowi nuta patryotyczna, której brzmienie znachodzi nieraz odźwięk w sercach słuchaczy.

Z małymi zatem wyjątkami musimy traktować teatr jako miejsce rozrywki i rozchodzi się o to tylko, aby ta „rozrywka“ z jednej strony nie przekraczała granic godziwości, a z drugiej nie była wprost przeciwną gustowi i wymaganiom tych, którzy za swoje pieniądze do teatru uczęszczają.

W naszych — nieszczęśliwych — warunkach, kierownictwo teatru winno jeszcze zwracać uwagę i na stronę patryotyczną — zdaniem mojem jedyną, którą przez teatr oddziałać można na masy. Wszystko inne, co się o „wzniosłem“ zadaniu teatru mówi i pisze, jest czystą utopią; marzeniem, które się nie da nigdy zrealizować. Teatr działa jedynie na zmysły, działa chwilowo i dorywczo jak prąd elektryczny, — wrażenia w teatrze odnoszone, zarówno z nim, gdy ustaje — nikną. W pamięć widza wrażają się jedynie pewne momenty, jak n. p. jakieś zdanie przez aktora wyjątkowo dobrze lub z jakąś specyalną intonacyą wypowiedziane, jakaś scena przejmująca swą grozą lub niezwykłym komizmem, wreszcie nawet jakiś niezwykle piękny i barwny obraz dekoracyjny. Z tego też samego powodu oddziaływują na widza najsilniej sztuki patryotyczne, jako dostarczające z natury rzeczy najwięcej takich w pamięć naszą wrażających się momentów — jak np. w najlepszym tego rodzaju utworze „Kościuszko pod Racławicami“ scena przysięgi, lirnik, bitwa itd.

W każdym innym kierunku teatr dawniej oddziaływał bardzo nie wiele, a obecnie nie oddziaływa nic. Że tak jest, najlepszym dowodem rodzaj dzisiejszej literatury dramatycznej, a co ważniejsze, powodzenie tej literatury na całym świecie jednakie. Zresztą, gdyby nawet urządzić i prowadzić teatr w duchu czysto

---

1)

R. DEMBIŃSKA.

Życie wśród pomyłek

NOWELA.

I.

Przechodnie, idący trotuarem koło kamienicy położonej na jednej z głównych ulic naszej stolicy nadpełtwiańskiej, zatrzymują się, przystają i nadsłuchują, gdyż z okien pierwszego piętra dolatują ich ulubione tony walców Straussa, ta muzyka głęboka a melodyjna, pełna finezyi a uchwytna — muzyka, którą zarówno odczuwa i rozumie genialny myśliciel muzyczny jak i prosty chłopak od szewca, gwiżdżący w niebogłosy urywki z niej i podskakujący do taktu.

Salon, z którego rozbrzmiewały te dźwięki, przedstawia się nader ponętnie. Wszystko, czego tylko gust wytworny i komfort dostarczyć może, jest tu nagromadzone. Dostatnio i ozdobnie w tej pańskiej komnacie, a nadewszystko wykwintnie, jak wykwintną jest ta para wirująca po perskim dywanie, z którego posunięto meble w kąty salonu, dla chwilowej fantazyi.

Dziwnie uroczą i zajmującą jest ta dziewica o greckim profilu, wsparta na ramieniu młodzieńca, mogącego być wzorem do portretu skończonej męskiej piękności. Jest to rodzeństwo: Gabryela i Stanisław Strzemińscy.

Matka ich, stosunkowo młoda jeszcze, bo niemająca lat pięćdziesięciu kobieta, gra z pamięci umiejętną ręką i przypatruje się równocześnie swym dzieciom z dumą i miłością. Sama musiała być bardzo piękną za młodu; dziś zachowała przy regularnych rysach miły i ujmujący wyraz twarzy — mimo, że w kruczych włosach sczesanych z czoła i spiętych z tyłu głowy w węzeł, prześwieca gdzie niegdzie, jakby srebrna niteczka, dodająca powagi tej ze wszech miar dystyngowanej pani.

— Gabryelo, zmęczyłaś się; nie pozwalam więcej tańczyć — rzekła matka przestając grać.

Lecz młoda para stanęła przed fortepianem — i Gabryela, całując ręce matki, prosiła:

— Jeszcze trochę, moja złota mamo! Wszak wiesz, że jutro mój pierwszy bal. Staś mówi, że niewprawnie tańczę, więc mam tremę —ale to taką tremę, jak aktorka przed pierwszym występem.

— Ale już dobrze nam teraz idzie — uspokajał siostrę Stanisław. — Jeszcze tylko parę razy w koło salonu przetańczymy.

Pani Strzemińska — jak wszystkie niemal matki kochające — zawojowana przez tę śliczną parę, zaczęła grać na nowo, a młodzi z całem zamiłowaniem oddali się czarownemu upojeniu walca.

Lecz przerwano taniec niebawem, gdyż kotara ciężka, jedwabna, odgraniczająca salon od gabinetu, poruszyła się i weszła służąca z oznajmieniem, że szwaczka przyniosła suknię balową panny Gabryeli.

— Dziękuję ci braciszku za naukę — rzekła Gabryela — i obejmując ramieniem głowę brata, pocałowała go kilkakrotnie. On też nie omieszkał oddać siostrze serdecznych uścisków.

— No, dość tego całowania i tańców na dzisiaj — rzekła matka, zamykając fortepian; — chodź Elo przymierzyć suknię.

— Ale pokażesz mi się w tej tualecie — prosił Stanisław — będę czekał w salonie.

Miłość bezgraniczna panowała w tej rodzinie. Ta matka była uwielbiana przez dzieci, ubóstwiana niemal; to rodzeństwo zaś, czy to dlatego, że ich było tylko dwoje, czy że nie rozstawali się nigdy, bo Gabryela wychowywała się pod okiem matki, a Stanisław również w domu pod kierunkiem mentora się kształcił, było do siebie tak przywiązane, że podobnego przywiązania siostry do brata i brata do siostry, trudno było znaleść na świecie.

Tożsamość myśli, tożsamość ideałów łączyły te dwie bratnie dusze — nie przypuszczające, by ich kiedy los mógł rozdzielić. I teraz nawet, gdy podróż po obcych krajach była wskazaną dla uzupełnienia studyów Stanisława, postanowiła matka, że pojadą wszyscy razem za granicę, wraz z nieodstępnym i ukochanym panem Feliksem Żelskim, mentorem Stanisława, którego ojciec wybrał mu za życia swego, i któremu umierając polecił opiekę nad synem.

Utrata ojca była srogim, nigdy nie zatartym ciosem dla tej rodziny; matka przeto zrozumiała swe posłannictwo, podwajała starania i kochała sama za dwoje.

Tych kilka słów, wypowiedzianych dla określenia sytuacyi, wystarczy na razie, wracamy więc do wątku powieści.

Znowu kotara od gabinetu poruszyła się i weszła do salonu Gabryela w balowej sukni, a za nią matka, w otoczeniu panny służącej i szwaczki, które miały dokonać poprawki u sukni — w razie, gdyby się okazała potrzebną.

Stanisław zerwał się od sztychów, które przeglądał w tece i stanął jak posąg zachwycenia przed siostrą, która w balowej tualecie wydała mu się jeszcze piękniejszą niż zwykle.

— Ależ to iście królewska dziewczyna, mamo! My jej nie damy nikomu — nikomu — choćby na tym balu zawróciła głowy wszystkim hrabiom i książętom!

— Nie przesadzaj, niema obawy — rzekła śmiejąc się matka — która w duchu ceniła więcej jeszcze urodę córki, niż brat urodę siostry.

Tylko Gabryela nie zachwycała się swoją urodą i mówiła z prostotą, że Staś daleko ładniejszy — a nikt się nad nim nie unosi.

— Zaczekaj, niech-no ja pójdę na ten bal — to i ja może jakiej pannie wpadnę w oczko.

— No to lepiej nie chodźmy nigdzie, bo poznasz jaką piękność i siostrzyczka twoja biedna pójdzie w kąt jak kopciuszek z bajki.

— Nie bądźże dzieckiem, moja Elo — strofowała matka.

W tej chwili stanął kamerdyner w progu zapraszając do herbaty.

Gabryela poszła się przebrać, a gdy wróciła, zastała już w jadalni przy stole matkę i brata.

— Czy pan Żelski przyszedł ze spaceru? — zapytała pani Strzemińska kamerdynera.

— Właśnie czekaliśmy na niego z podaniem herbaty — idzie zaraz.

Pan Feliks, sześćdziesięcioletni człowiek, czerstwy, z gęstą, siwą zupełnie czupryną, bardzo sympatycznie się przedstawiał. Nie był pedantem, mimo że na mentorstwie życie spędził; wesołość umiejętnie łączył z powagą, a uczoność swoją chował dla siebie i dla swoich uczniów, nie prezentował się z nią przed innymi.

Pan Feliks chodził regularnie o jednej godzinie na przechadzkę, przynosił z miasta różne wiadomości, to smutne, to wesołe — któremi zabawiał towarzystwo przy herbacie nadto dostarczał nowych książek z księgarni, które czytywano wspólnie, jeśli nie było gości.

Stanisław nigdy nie wychodził z domu po herbacie; najlepiej mu było — jak mawiał — w domu. Czasem grywał w szachy z panem Feliksem — a bardzo często spędzano wieczory w teatrze, gdyż pani Strzemińska miała swoją zamówioną lożę na całą zimę.

Tego wieczora przyniósł pan Feliks bardzo zajmującą powieść i zaczął ją czytać głośno. Panie wyszywały na kanwie jakieś kwadraty do dywanu, a Stanisław rysował.

Cała rodzina najwięcej lubiła w ten sposób spędzane wieczory, a tych cichych, spokojnych posiedzeń nie przerywano im prawie nigdy żadnymi interesami. Lecz dziś, wyjątkowo, wszedł kamerdyner i szepnął parę słów samej pani. Ta wyszła, nie okazując najmniejszego zaniepokojenia. O kogoż miała się trwożyć? Wszystko co jej było najdroższem w świecie, miała koło siebie. Wywołano ją, bo ktoś przyszedł w interesie, którego nie chciał wyjawić przed służbą. Niebawem miała się dowiedzieć o co chodzi.

Nie dłużej jak dziesięć minut zabawiła pani Strzemińska w przedpokoju, a powróciwszy rzekła:

— Wyobraźcie sobie, ta biedna Szczepanowa tak jest chorą, że prawie umiera; nie mi nie mówiono, że jest tak źle. Jeszcze dziś posłałam jej obiad, który podobno jadła. Ta twoja poczciwa, przywiązana karmicielka chce cię widzieć przed śmiercią, Stasiu.

Gabryela i Stanisław wstali od stołu bardzo wzruszeni. Lubili oboje tę kobietę, która wykarmiła Stasia, a była niejako wychowanką matki pani Strzemińskiej. Od niej jako praczka wyszła za stolarza dobrze się mającego we Lwowie. Później gdy zapadła na chorobę piersiową, pani Strzemińska otaczała ją serdecznem staraniem. Mąż tej kobiety od kilku lat nie żył, lecz rzemiosło prowadził syn, kochający matkę nad życie. Ratował ją przeto jak mógł, sprowadzając najzdolniejszych lekarzy. Lecz choroba stawała się coraz groźniejszą, beznadziejną — aż oto przysłała po panicza, chcąc go raz jeszcze zobaczyć przed śmiercią.

— Ma się rozumieć, że idę natychmiast — rzekł Stanisław — szukając kapelusza.

Pani Strzemińska wskazała oczyma panu Feliksowi Stanisława — ten zrozumiał o co chodzi i zbliżywszy się do zaniepokojonej kobiety szepnął:

— Gdzieżbym mu samemu iść pozwolił; najdalej za godzinę będziemy z powrotem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

idealnym, to raz, po jakimś czasie, nie byłoby w nim co grać, bo zapas utworów odpowiednich wnetby się wyczerpał; a powtóre, gdyby nawet publiczność do takiego teatru uczęszczała, wśród dzisiejszych warunków życiowych, tej korzyści moralnej z pewnościąby nie odniosła, jakiej chcą marzyciele. Człowiek inteligentny — co więcej jak pewne nie idzie do teatru po naukę. Masy? mój Boże, na co im teatru — czyż dzisiaj lada szewczyk, odnoszący „kundmanowi" buty, lada dorożkarz, drzemiący na swym wehikule, czy stróż z miotłą przed domem, czy ci wszyscy nie mają wygodniejszego, tańszego i co ważniejsze, przystęgniejszego dla siebie moralnego pożywienia w przeróżnych pismach i pisemkach, grających tak mistrzowsko na najbardziej tkliwej strunie ich dusz i serc — bo strunie zazdrości, zazdrości już nie majątku, stanowiska, ale zazdrości o jaką taką strawę, zazdrości o schronienie i o trochę ciepła!

Cóż takiego człowieka, żywionego taką strawą, może nauczyć teatr? On w nic nie wierzy, albo z głupoty, albo z powodu, że mu w głowie przewrócono, dla niego nawet kościół stał się martwą literą, a miałby wpłynąć na jego umoralnienie teatr? Czy nawet najzagorzalszy zwolennik umoralniania i uszlachetniania przez teatr, nie przyzna się sam przed sobą w cichości, że wśród szerokich mas, mało jest — albo nawet wcale nie ma takich — którzy po wysłuchaniu najmoralniejszego utworu, gdzie występek został ukarany, cnota i szlachetność sowicie nagrodzone, wyszedłszy z teatru, wyraziliby się inaczej, jak:

— Ot, „kumedya" — na świecie dzieje się „inakszo..,"

Zresztą, gdyby inaczej było, narody, stojące od nas pod każdym względem wyżej, a zwłaszcza Anglia — gdzie sfery inteligentne najwięcej nad umoralnieniem mas pracują, nie szczędząc ani kosztów, ani zabiegów — byłaby z pewnością chwyciła się i środka działania przez teatr. Widzimy jednak, że teatr angielski nietylko niczem się od innych nie różni, ale nawet ma wybitną cechę bawiącą i po za ten kres nie sięga i wskutek tego nawet moralnie niżej stoi od teatrów innych krajów. A nie zapominajmy, że Anglicy, to bardzo mądry, praktyczny i purytański naród Mojem zatem skromnem zdaniem, niepodobna nadać teatrowi innej cechy, jak dlań najwłaściwszej, to jest, cechy przybytku, służącego ku rozrywce. Pod słowem „rozrywka" nie mam oczywiście na myśli bezsensownych fars, idyotycznych operetek i t. p. utworów, bo o ile nie mogę przypisać teatrowi misyi cywilizacyjnej, o tyle mam głębokie przekonanie, że nie powinno się w wyborze sztuk przekraczać granic przyzwoitości i estetyki. Nie można jednak wymagać, ażeby dyrekcye karmiły publiczność utworami wyłącznie poważnymi, a zresztą każdy doświadczony „teatralnik" wie o tem dobrze, że rozumne kierowanie sceną polega nie na trzymaniu się pewnego, choćby najrozumniej obmyślonego systemu, ale na tem, aby publiczność zmusić do chodzenia do teatru. Raz wprzężona w rydwan teatralny, mniej ona wówczas hołduje wyłącznie swoim gustom i łatwiej da sobą pokierować, czyli innemi słowy, gdy teatr stanie się dla publiczności potrzebą, a nie jak najczęściej u nas „złem koniecznem", wówczas można powoli i systematycznie gust jej zmieniać i do pojęć wskazanych zastosowywać.

Pałac

zbliżającej się konferencyi pokojowej.

Gdyby o wyborze miejsca, gdzie obradować ma konferencya pokojowa, rozstrzygały nie względy polityczne, ale troska o to, by obradowano w miejscowości usposabiającej obradujących pokojowo, — i w takim razie wybór powinien był paść na Haagę. Holandya jest jednym z tych niewielu krajów, w których każdego przybysza ogarnia spokój, wiszący, zdaje się, w powietrzu; gdzie ludność, kupiąca się z zamiłowaniem około ognisk domowych, jedną zdaje się być przejęta myślą: dom swój rodzinny niestrudzenie upiększać, dobrobyt i oświatę podnosić, zgiełku wszelkiego unikać i w schludnych domkach cichego zażywać spokoju, zdobytego nieustanną pracowitością, skrzętnością i oszczędnością. Spokój ten, panujący w Holandyi, nie jest martwotą ludu do czynu i bohaterskich wysiłków niezdolnego. Przeciwnie, cała historya tego kraju wypełniona jest bezustanną walką z dwoma wrogami: oceanem i obcymi najeźdźcami. Drusus najpierw zaprowadził rzymskie rządy nad Batawami, zamieszkującymi nadmorskie błota i trzęsawiska; — po nim rządzili tym krajem różni najeźdźcy, aż dopiero w roku 1814 Holandya uzyskała sobie ostatecznie całkowitą samodzielność. Przez te ośmnaście wieków, wypełnionych ciągłem szamotaniem się z najeźdźcami: Rzymianami, Frankami, Duńczykami, Normanami, cesarstwem niemieckiem, Hiszpanią, Francyą i t. d., Holendrzy nietylko nie ulegli, ale znaleźli jeszcze dość energii, by przemódz stałego wroga swego — morze, zabezpieczając odeń kraj swój tamami granitowemi, przerzynając kanałami bagna i przemieniając dawne trzęsawiska w żyzną uprawną rolę. „Dla nas nic przyroda nie uczyniła — myśmy wszystko na niej zdobyli" — z dumą powiadają Holendrzy. Dokonawszy tego i wywalczywszy sobie samodzielność, Holendrzy używają zasłużonego wczasu, zogniskowani w pracy i spokoju, który ogarnia każdego przybysza.

Haaga nosi również charakter kraju, którego jest stolicą: czyściutka, porządna, cicha, ze swemi prosto wytyczonemi ulicami, wspaniałemi budowlami i starannie utrzymywanemi ogrodami, świadczy na każdym kroku o zapobiegliwości swych mieszkańców i ich schludności i zamiłowaniu, spokoju i porządku. Przyjezdnego uderza przedewszystkiem niezwykle wielka liczba wspaniałych budowli, zadziwiająca w niewielkiem mieście, liczącem około 130 tysięcy mieszkańców.

W liczbie tych gmachów na wyróżnienie zasługuje „Mauritis-Auis", galerya obrazów, wzniesiona w r. 1679, nietyle ze względu na jej zewnętrzny wygląd, ile raczej jako główna kwatera holenderskiego malarstwa, zawierająca prawdziwe perły w zbiorach swych niezmiernie bogatych. Tutaj znajduje się, między innemi, słynny „Chrystus w świątyni" Rembrandta i wiele innych obrazów tego mistrza, dalej obrazy Pottera, Wouwermanna, van der Welde, Ruisdaela, Dova i t. d.

Konferencya pokojowa obradować będzie w „Palais des Bois" — po holendersku: „t'Huis ten Bosch" niemieckie: Haus im Busch).

Leży on wśród ogromnego lasu, powiedzmy parku, ciągnącego się od Haagi aż prawie nad samo morze, t. j. do znanej kąpielowej miejscowości Scheveningen. Widać go z drogi wspaniałej, biegnącej brzegiem owego parku, po której śmigają tramwaje parowe, a rojącej się latem tłumem publiczności. Po polankach w owym lesie, czyli też parku (od którego nazwa pałacu) pasą się stada danieli, prawie swojskich — Po kanałach i sztucznych jeziorach pływają łabędzie. Przecudna miejscowość!

Pałac zbudowała w roku 1647 wdowa po księciu Fryderyku-Henryku Orańskim. Zewnątrz niepokaźny, wewnątrz niezmiernie gustowny i z wielkim urządzony przepychem i artyzmem. Jest tam pokój chiński, ociągnięty kosztownemi obiciami z XVIII wieku, z papieru, wyrabianego z masy ryżowej, jest sala „Oraniów" z pysznemi malowidłami, zdaje się, uczniów Rubensa; mnóstwo pięknej delftskiej porcelany etc.

Haaga posiada w liczbie swych muzeów jedno jeszcze wielce ciekawe. Jest to tak zwany „Gevagen poort", stara baszta, która służyła ongi za więzienie, a obecnie przechowuje zbiór narzędzi, używanych ongi do tortur, przypominających rządy ks. Alby, któremu służą za jedyny pomnik. Zbiory te dostępne są codziennie dla ciekawych, pragnących uzmysłowić sobie dawne, „dobre czasy... Może kiedyś w pałacu „t'Huis ten Bosch" z równą ciekawością przyglądać się będą przyjezdni arcydziełom z fabryki Kruppa, magazynowym karabinom i modelom pancerników i torpedowców, złożonym tutaj na pamiątkę konferencyi pokojowej, jako... zabytki przeszłości.

Z izby sądowej.

Lwów, 3 maja.

(Proces spółki bankrutów).

Dziś rozpoczął się przed trybunałem sędziów przysięgłych proces przeciw Dawidowi Lowenherzowi i Salomonowi Goldsternowi, byłym współwłaścicielom lwowskiej firmy wekslarskiej „Goldstern i Lowenherz", oskarżonym o to, że będąc już w roku 1895 wskutek marnotrawstwa niewypłacalnymi, prawdziwy stan majątku firmy taili, aby w ten sposób o ile możności jak najdłużej kredyt swój podtrzymać i od biednych, wprowadzonych w błąd żydków, ich oszczędności wyłudzać. Skoro nareszcie sprawdziło się przysłowie „póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie" i zupełny krach firmy nastąpił, okazało się, że pretensye wierzycieli do masy konkursowej wynoszą około miliona zł. a pokrycie jest tak małe, że na zaspokojenie każdego wierzyciela przypadnie ledwie 25¾% jego pretensyi. Nad to Dawidowi Lowenherzowi zarzuca jeszcze akt oskarżenia, iż ukryciem pewnej części majątku swego prawdziwy stan masy konkursowej przekręcił — naturalnie na niekorzyść wierzycieli firmy.

Rozprawa potrwa zapewne parę tygodni, zanim wyczerpany zostanie obfity materyał dowodowy i odwodowy, zanim sędziowie przysięgli zdołają się zoryentować w zawikłanych szczegółach manipulacyi handlowych, buchhalterskich, komisowych itp. oraz w otrzymanej litanii rozmaitych cyfr, częścią prawdziwych częścią urojonych i w końcu potrafią rozróżnić granice, gdzie się kończy niezawinione niepowodzenie kupieckie, spowodowane nieszczęśliwemi konstelacyami finansowemi, a zaczyna się lekkomyślność i przypuszczalnie oszustwo. Aby dać niejakie wyobrażenie o rozmiarach, jakie przybrać musi rozprawa, dość przytoczyć, że obrońca dr. Grek do tej rozprawy specyal nie musiał wzmacniać swe wiadomości z dziedziny buchhalteryi, że powołanych jest 6? świadków, a nadto odczytanych będzie z 50 rozmaitych świadectw, orzeczeń, protokołów, kontraktów i t. d.

Mimo, że proces jest tak rozgałęziony, a sumy, o które się rozchodzi obracają się w granicach kroci i milionów, same szczegóły procesu nie będą zbyt interesujące, a śledzić je do samego końca będą głównie tylko obywatele czarnej giełdy, dla których proces „Lowenherza i Goldsterna" odda niezawodnie znakomite usługi jako praktyczny kurs „podwójnej rachunkowości". Jak naszym czytelnikom wiadomo, obecny proces jest już drugim z rzędu procesem w tej całej sprawie. W maju poprzedniego roku zasiadał już w tej samej sali na ławie oskarżonych tylko Dawid Lowenherz, zaś były jego wspólnik Goldstern występował w roli świadka. Powszechnie bowiem utrzymywano i rzeczywiście nawet początkowo poszlaki szły w tym kierunku — że rozmyślnie winnym ruiny finansowej firmy „Goldstern i Lowenherz" był tylko Lowenherz, on bowiem kierował wszystkimi interesami, jako dzielny i sprytny fachowiec, on dyrygował finansami naiwnego Goldsterna, którego wprowadzał w błąd co do prawdziwego stanu finansowego firmy, podobnie jak i wierzycieli. Jednak w toku rozprawy okazało się, że Goldstern był o operacyach Lowenherza dobrze powiadomionym i wcale nie padł ofiarą ufności do swego wspólnika, lecz owszem, najprawdopodobniej wspólnictwo to nie było tylko formalne, lecz rzeczywiście rozciągało się na wszystkie lekkomyślne czy może nieuczciwe operacye finansowe. Prokuratorya wdrożyła tedy nowe śledztwo, wskutek którego Goldstern stał się obecnie także wspólnikiem odpowiedzialności Lowenherza i razem z nim koleguje na ławie oskarżonych.

A teraz przypominamy pokrótce szczegóły odnoszące się do procesu, uzupełniając je szczegółami, wykazanymi przez nowe śledztwo.

Firmę „Goldstern i Lowenherz" założono we Lwowie w r. 1878. Goldstern włożył do interesu 40.000 złr., zaś Lowenherz 15.000 i uzdolnienie, oraz doświadczenie fachowe. Prywatnego majątku posiadał Goldstern 700.000, Lowenherz prawie nic, ale za to miał on bogatego ojca, na którego mógł liczyć w razie potrzeby. Zrazu firma „G. i L." kontentowała się czynnościami czysto bankierskiemi, jednak w r. 1882 puściła się także na bardziej realne interesa, przedewszystkiem zaś na interesa komisowo-zbożowe w Rosyi. Lowenherz zawiązał stosunki z rosyjskimi dostawcami zbożowymi, udzielając im na zobowiązane dostawy zboża 6%-wych zaliczek, opartych jednak na kredycie osobistym, bez żadnego zabezpieczenia; równocześnie stworzył filie zbożowe w Podwołoczyskach, Gdańsku, Królewcu, Odesie i Brodach i wnet zaangażował w tym interesie majątek firmy w wysokości 500.000 złr., z czego tylko połowa miała pokrycie w zapasach zboża firmie już dostarczonych. Ale wkrótce pokazało się, że interes ten był jeszcze mniej realny, niż interesa bankierskie i giełdowe. Na upadek jego wpłynęła kryzys zbożowa w Rosyi, wywołana nieurodzajem, głównie zaś niesumienność agentów, pospolitych zbrodniarzy jak np. Simchego Kracha — nomen omen! — którzy okpiwali firmę na każdym kroku, wyłudzając od niej zaliczki, a nie dostawiając zboża. W końcu doszło do tego, że musiano w r. 1887 zwinąć wszystkie filie zbożowe i ograniczono interes do zwykłego eksportu zboża. Jednak pomimo zwinięcia jednej z tych filii, mianowicie w Podwołoczyskach, nie zamykano jej ksiąg handlowych i nie wykazano ostatniego salda strat, a to dlatego, aby było można wykazywać ciągle dłużników rosyjskich jako wypłacalnych, a pretensye do nich uważać za ściągalne, bo w ten sposób otwartą była droga do zwiększenia urojonych aktywów przez dopisywanie odsetek od owych w rzeczywistości przecież nieściągalnych pretensyi rosyjskich. Ogólne straty firmy na tem przedsiębiorstwie wynosiły pół miliona, z których 200.000 złr. przypadło na niesumiennych agentów, dobranych przez Lowenherza.

Drugim nieszczęśliwym interesem, w który się „uwikłała" firma „Goldstern i Lowenherz" był interes z młynami parowymi w Sokalu i Nowej Grobli. Z dzierżawcą pierwszego, Rauchem, stał początkowo w stosunkach finansowych tylko sam Goldstern, wspierając Raucha ogromnemi sumami. Wychodził ciągle na tym interesie tak, jak Lowenherz na interesie zbożowym z Rosyą, tzn. tak jak Zabłocki na mydle. W r. 1890 postanowił Lowenherz pomódz nieszczęściu swego przyjaciela Goldsterna za pomocą pieniędzy firmy i otworzył Rauchowi w firmie kredyt, zagwarantowany zapasami zboża i mąki. Wówczas to firma pożyczyła Rauchowi 48.000 zł., wyrobiwszy sobie nadto pozwolenie zostawienia w młynie kontrolera, który miał strzedz praw firmy „G. i L.". W r. 1891 gdy Rauch umarł, okazało się w młynie tyle długów, że należało bezzwłocznie konkurs ogłosić. Mimo to Lowenherz, licząc na poprawę interesów młyna w przyszłości, postanowił wesprzeć go funduszami firmy, żeby zaś mieć wolną rękę, zawarł z spadkobiercami Raucha układ, wedle którego przyznano Rauchom znaczne korzyści i uwolniono ich od wszelkiej odpowiedzialności za dalsze straty młyna sokalskiego. Wszelkie ewentualne straty i niedobory miały być pokryte z majątku Goldsterna; nadto kazał Lowenherz buchhalterowi młyna pretensyę Goldsterna w kwocie 130.000 zł. wstawić w rubrykę aktywów, ażeby młyn miał na przyszłość skąd straty pokrywać — na papierze. Lecz i to forsowanie „geszeftu", po którem sobie obaj bankierzy obiecywali znakomite dochody, nie przyniosło rezultatu, gdyż wskutek nieurodzaju, spadku cen zboża i fatalnych konjunktur handlowych były ciągłe straty, tak, że w r. 1895 kiedy firma „G. i L." zawiesiła wypłaty, zgłoszono ostatecznie konkurs do młyna. Goldstern stracił na tym interesie pół miliona zł., a firma „G. i L." 300 000 zł., z czego otrzymała masa konkursowa firmy z powrotem tylko niespełna 100.000 zł

Również zaopiekował się Lowenherz bankrutującym dzierżawcą młyna w Nowej Grobli, rzekomo, aby sparaliżować niebezpieczną dla sokalskiego młyna konkurencyę. Udzielił on owemu dzierżawcy imieniem firmy „G. i L." kredytu w łącznej kwocie około 100.000 zł, które całkowicie przepadły, gdyż pomimo pomocy firmy młyn nowogrobelski popadł w konkurs; konkurs ten, otwarty w r 1895 musiano wnet zamknąć, gdyż majątek młyna nie przedstawiał żadnych zgoła aktywów.

Mimo tych strat, tak Lowenherz jak i Goldstern występowali na zewnątrz jako ludzie bardzo zamożni, otaczali się zbytkiem i na utrzymanie swych domów wyrzucali rocznie po kilkanaście tysięcy. Pozory te miały na celu wmówić w publiczność żywotność firmy i zachęcać ogół do lokowania w kasie firmy swych kapitałów. Aby dorównać Goldsternowi, który posiadał własną willę i parę wsi, kupił Lowenherz w r. 1889 do spółki z żoną majętność Żniatyn, do której potem wcielił część sąsiedniego Chłopiatyna. Za co kupił tę majętność, tego dojść trudno, gdyż majątku żadnego nie miał, tylko długi w kasie firmy, z której bardzo często czerpał. Szczęście mu jednak na chwilę się uśmiechnęło, gdy w r. 1891 otrzymał po ojcu czwartą część jego rozległych dóbr i dzierżaw, wartości przeszło 200 000 zł.

W końcu dodać trzeba, że interesa bankierskie firmy, będące z początku rdzeniem wszystkich jej czynności, zaczęły iść źle. W ten sposób ogółem straty firmy wynosiły w r. 1895 mniej więcej milion złr., tj w interesie komisowo-zbożowym w Rosyi pół miliona, w obu młynach 400.000 złr., a w interesach bankierskich 100.000 złr., pokrycie zaś tych strat na realnościach firmy i firmantów, oraz na ich dobrach wynosiło po strąceniu długów, ciążących na tych dobrach, tylko 300.000 złr.

Mimo to w r 1895 rozwinęli obwinieni żywą akcyę w kierunku przysporzenia sobie nowych kapitałów, nakłaniając właścicieli drobnych oszczędności do składania w ich kasie swoich funduszów w ilości większej, niż za lat poprzednich. W istocie głównie zapomocą puszczenia w ruch tzw. bonów wyłudzono pół miliona nowych wkładek, tak, że razem z dawnemi wierzytelnościami pretensye wierzycieli do obecnej masy konkursowej po byłej firmie „G. i L." wynoszą 1,260.000 złr. Obok tego gorączkowego gromadzenia nowych kapitałów chwycili się także obwinieni innego środka oszukańczego: mianowicie skasowali u siebie podwójną buchalteryę, dającą jedynie gwarancyę koniecznej kontroli, i zadowolili się buchalteryą pojedynczą, usunąwszy z użycia kilka niewygodnych dla siebie ksiąg.

To wszystko jednak nie pomogło, gdyż los firmy wisiał już oddawna na włosku. Dnia 9 listopada wskutek częściowej katastrofy giełdowej powstał we Lwowie popłoch i wierzyciele firmy rzucili się do kasy i żądali wypłaty swoich kapitałów. Zamiast jednak zgłosić natychmiast konkurs i uchylić się w ten sposób przynajmniej od zarzutu zawinionej krydy, puścili się obaj wspólnicy na drogę oszustwa i maskując rozpaczliwy stan swoich interesów spokojną i pewną siebie miną, wyłudzali dalej od żydków pieniądze. Równocześnie zainscenował Lowenherz akcyę celem pozbawienia swych wierzycieli wszelkich przedmiotów majątkowych, z którychby można uzyskać zaspokojenie ich pretensyi. Oto udał się do Banku hipotecznego i wyrobił tam dla firmy pożyczkę 250.000 złr., dając za to w zastaw swój Żniatyn, oraz niektóre majętności członków swojej rodziny, którzy mu pospieszyli z pomocą. To postąpienie jednak było zupełnie niewłaściwe, gdyż kwotą 250.000 złr., której Bank nietylko całej nie wypłacił, ale z której nadto potrącił przeszło 80.000 złr. za swój dług, nie można już było krachu zażegnać. Uzyskał natomiast Lowenherz dwie rzeczy, krzywdzące innych wierzycieli: uprzywilejował głównie bank jako swego wierzyciela i przynajmniej chwilowo uniemożebnił innym wierzycielom poszukiwanie swych pretensyj na zastawionych dobrach. Podobnie postąpił Lowenherz ze swą spuścizną po ojcu. Sprzedał ją swojej rodzinie bardzo tanio, bo za 140.000 złr, z tego 14.000 złr. użył przedewszystkiem na zaspokojenie długu swego zięcia i w ten sposób pospiesznie uratowawszy ze swego majątku, co było można, przynajmniej na rzecz rodziny, dopiero resztę uzyskanej sumy wpłacił do kasy firmy na pokrycie jej długów, po sprawiedliwości zaś nie powinien był np. swego zięcia zaspokajać przed innymi wierzycielami.

Wszystkie te operacye miały na celu forsowanie akcyi ratunkowej dla firmy. W rzetelności Lowenherza ufano tak powszechnie, że udało mu się nawet już po zamknięciu kantoru i zawieszeniu wypłat w dniu 22 listopada 1895 roku — nakłonić przedstawicieli lwowskich instytucyi finansowych do zawiązania komitetu likwidacyjnego, który podjął się wypłacania pretensyi wierzycielom firmy w ten sposób, że dawano im zaraz 35%, jeżeli się reszty pretensyi zrzekali na rzecz Banku hipotecznego, który główną grał rolę w owym komitecie, a 30% takim, którzy zastrzegali sobie prawo zgłoszenia się do masy konkursowej. Sanacya ta jednak, na którą wydali członkowie komitetu, oraz Bank hipoteczny około 200.000 zł, nie powiodła się, gdyż okazało się, że passywa firmy były większe, niż to przedstawiał Lowenherz. Wobec tego dnia 21 grudnia otworzono na żądanie wierzycieli konkurs do masy po firmie. Jak na tem wierzyciele wyjdą, to już wspomnieliśmy powyżej: mianowicie otrzymają oni tylko 25¾% swych pretensyi.

Nadto akt oskarżenia zarzuca jeszcze Lowenherzowi, że zataił część swego majątku. Kiedy bowiem w roku 1896 wystawił Bank hipoteczny zastawiony Żniatyn na licytacyę, postarał się o to, aby cenę wywołania o ile możności obniżyć przez to, że zataił, iż część Chłopiatyna do tej wsi także należy Chodziło mu o to, aby Żniatyn nabyli jego krewni Parnasowie, co też się w istocie stało. Dziwne to jednak było kupno, gdyż Parnasowie wcale się na Żniatynie nie intabulowali, lecz owszem uskuteczniali na rzecz Lowenherza rozmaite wypłaty dla najbardziej natrętnych jego wierzycieli. Trzeba jeszcze dodać, że przez to przelanie majętności Żniatyn na Parnasów, został uratowany 50-tysięczny posag córki Lowenherza, Kornelii, żony jednego z Parnasów, posag, pochodzący właściwie z kasy firmy, a nie z prywatnej kieszeni Lowenherza, który, gdyby nie owa bardzo podejrzana sprzedaż Żniatyna, zostałby słusznie zabrany przez wierzycieli firmy.

Takie są zarzuty aktu oskarżenia.

Rozprawie przewodniczy p. radzca Gołkowski, jako wotanci zasiadają pp. Lechczyński, Cetnarski i Starzyński, prokuratorem jest p. Kwiatkowski. Lowenherza bronią adwokaci dr. Grek i dr. Horowitz, zaś Goldsterna dr. Gorecki i dr. Sołowij.

Obaj oskarżeni nie siedzą na ławie oskarżonych, lecz na dwóch krzesłach w pewnem oddaleniu od siebie, jakby przez to chcieli zaznaczyć, że nie chcą mieć teraz ze sobą nic wspólnego. Audytoryum na razie nie jest wcale liczne. Odczytanie aktu oskarżenia trwało około półtorej godziny, a skończyło się o godzinie 11 stej.

Po pauzie rozpoczęło się przesłuchiwanie osk. Lowenherza.

Wystawa sztuki w Wenecyi.

Wenecyanki są niepocieszone! Tak świetnie zapowiadały się uroczystości otwarcia weneckiej wystawy sztuki, a tak skromne przybrały rozmiary z powodu, że włoska para królewska nie przybyła, ze względu na żałobę dworską.

Niezbyt świetnie odbyło się otwarcie trzeciej wystawy sztuki w Wenecyi. Przedstawiciel króla, książę Genui, komendant naczelny marynarki włoskiej, który pompy uroczystości publicznych nie lubi, przybył z rana do Wenecyi, a punkt o godzinie 10-tej, ze ścisłością iście wojskową, udał się do „Giardino publico", gdzie stoi gmach wystawowy, wysłuchał mów powitalnych, które wypowiedzieli burmistrz miasta, prezes komitetu organizacyjnego i minister oświaty, przeszedł krokiem żołnierskim przez 22 salony wystawy, poczem o godz. 2-ej po południu powrócił do Turynu. Całe szczęście, że pogoda była prześliczna, co po części naprawiło zły humor Wenecyanek. Świetności przy otwarciu wystawy nie było, ale za to laguny cudnie połyskiwały w złotych blaskach wiosennego słońca.

Mówcą urzędowym był umyślnie na ten cel z Rzymu przybyły minister oświaty i sztuk pięknych, Baccelli, który wyraził przedewszystkiem zadowolenie z powodu, iż obawy co do złego stanu pałacu dożów okazały się płonnemi. Rząd zwraca i zwracać będzie baczną uwagę na konserwacyę pomników sztuki budowlanej, stanowiących chlubę miast włoskich, zwłaszcza w miastach północnych. Ciekawi, którzy przybędą do Wenecyi na wystawę sztuki, znajdą dzieła artystyczne nietylko w gmachu wystawowym, ale i nad kanałami, gdzie starożytne pałace budzą podziw budowniczych i estetyków świata całego. Minister zapowiedział nadto, iż rząd czyni zabiegi o przywrócenie niektórych starodawnych obchodów, które miały dawniej przywilej ściągania do miast włoskich tłumów cudzoziemców. W projektach rządowych nie zapomniano i o Wenecyi. „Bucentoro" wspaniały okręt wenecki, z którego doża wyjeżdżał co rok na pełne morze i z pokładu rzucał pierścień złoty w fale, dokonywając w ten sposób ceremonii zaręczyn Wenecyi z morzem, będzie odbudowany z popiołów (przed stu laty spalili go Francuzi) i znów puszczony na morze, a pierwszej w wieku XIX-ym ceremonii zaręczyn Wenecyi z morzem dopełni dzisiejszy doża wenecki król Humbert.

Słowa te znalazły odźwięk radosny nietylko w Wenecyi, ale i w innych miastach włoskich, od dawna domagających się od rządu zastosowania środków, mających na celu skierowanie do miast włoskich cudzoziemców, którzy w ostatnich czasach, zrażeni brudami włoskiemi i włoskiem żebractwem, zaczęli omijać miasta włoskie, kierując się na Rivierę francuską, lub też szukając nowych wrażeń za morzem Śródziemnem, w upalnym Kairze lub w Aleksandryi.

Na otwartej teraz wystawie międzynarodowej sztuki w Wenecyi reprezentowane są prawie wszystkie narodowości świata. Liczba dzieł, zanotowanych w katalogu, przekracza 1000. Niektórym mistrzom europejskim oddano oddzielne sale do rozporządzenia; tak n. p. Franciszek Lenbach w osobnej sali utworzył oddzielną swoją wystawę, złożoną z 20-tu płócien. Za jego przykładem poszedł Franciszek Micheti, słynny malarz Abruzzów. Jedna z sal zapełniona jest wyłącznie malowidłami przedwcześnie zmarłego malarza weneckiego Giacomo Favretto, po którym lat temu 20 Włochy artystyczne oczekiwały bardzo dużo.

Ogólne wrażenie wystawy jest istotnie bardzo dodatnie. Z celniejszych nazwisk artystów współczesnych mało kogo tam brakuje. Choćby zresztą płótna w „Giardino publico" nie należały do najprzedniejszych, czyż może nie udać się wystawa w Wenecyi, gdzie nad kanałami drzemią arcydzieła budownictwa, a wody lagun, połyskujące w złotych blaskach wiosennego słońca, same przez się są najpiękniejszym obrazem, niezniszczalnym przez czas, ani ludzi? *K. W.*

KRONIKA.

Lwów 3 maja.

Rocznica Trzeciego Maja. Dziś o świcie pobudką, odegraną przez kapelę „Harmonii" po ulicach miasta, rozpoczął się obchód 108-mej rocznicy konstytucyi Trzeciego Maja. Przed południem odbyły się w archikatedrach łacińskiej i ormiańskiej, oraz w kościele OO. Dominikanów solenne nabożeństwa, a wieczorem o godzinie 7-mej rozpocznie się w sali „Sokoła" wieczorek muzyczno-wokalny.

Wiadomości urzędowe. Cesarz zamianował profesora teologii pastoralnej na uniwersytecie lwowskim ks. Ludwika Klossa i dziekana w Stryju ks. Ludwika Ollendra honorowymi kanonikami kapituły metropolitalnej rzymsko-katolickiej we Lwowie.

Minister sprawiedliwości zamianował adjunktami sądowymi auskultantów: Leopolda Krzyżanowskiego dla Starego Sącza i dra Władysława Kisiela dla Biecza.

Kurs dla pisarzy wiejskich. W myśl powziętej w ostatniej sesyi sejmowej uchwały otwiera Wydział krajowy z dniem 16 maja b. r. kurs dla pisarzy gmin wiejskich. Nauka, mająca trwać 4 miesiące, obejmować będzie manipulacyę urzędową, ustawę gminną, polową, drogową, przepisy sanitarne i policyjne i ćwiczenia stylistyczne w języku polskim i ruskim. Po ukończeniu kursu będą pisarze i kandydaci obowiązani składać egzamina przed komisyą przez Wydział wyznaczoną i otrzymają stosownie do postępów uczynionych w czasie kursów świadectwa uzdolnienia. Kandydaci, których liczbę oznaczono na 40, dzielą się na trzy kategorye. Pierwszeństwo mają ci, którzy zgłoszą się do odbycia kursów na koszt własny. W drugim rzędzie uwzględnieni będą kandydaci, którym Wydziały powiatowe wyznaczą na ten cel stypendya. Wreszcie dla dwudziestu ubogich kandydatów przeznaczył Wydział krajowy stypendya po 100 złr. Podania o przyjęcie na kursa wnosić należy do Wydziału powiatowego tego powiatu, do którego kandydat należy.

Konkurs na posadę lekarza okręgowego w Krzeszowicach rozpisał Wydział powiatowy w Chrzanowie z terminem do 31 bm. Pobory 750 złr.

Rada powiatowa w Krośnie uchwaliła tymi dniami wniosek p. Michała Mięsowicza z Korczyny o wniesienie protestu przeciwko rządzeniu na podstawie § 14-go ustaw zasadniczych.

Szykany podatkowe. Z Wróblika królewskiego w powiecie krośnieńskim donoszą do *Kuryera Lwowskiego*, że dnia 28 z. m., t. j. w uroczyste święto gr.-kat. (Wielki Piątek) w czasie nabożeństwa egzekutor podatkowy wraz z wójtem przeprowadzali fantowanie w nieobecności lokatorów. Do domów zaś, które były pozamykane, wchodzili oni przez dachy, wydzierając w nich dziury.

Ankieta w sprawie biura pracy obradowała wczoraj nad wnioskiem prof. Thulliego, postawionym na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej, ażeby do komisyi nadzorczej miejskiego biura pracy dodatkowo dopuścić dwóch reprezentantów Stowarzyszenia katolickich robotników „Przyjaźń". Po ożywionej dyskusyi wniosek odrzucono głównie ze względu, że wymaga on zmiany statutu, a tem samem trzebaby opóźnić wprowadzenie w życie tej tak potrzebnej instytucyi.

Signum temporis. Podnosiliśmy w piśmie naszem już kilkakrotnie, że stanowisko katolickiego stronnictwa ludowego w autonomicznej większości parlamentarnej, której rdzeń stanowią obok Polaków głównie Czesi, jest bardzo trudne wobec szowinistycznej, a wyłącznie na narodowościowej strunie grającej agitacyi radykałów niemieckich i że jeżeli zamęt wywołany rozporządzeniami językowemi nie zostanie rychło usunięty, w takim razie prędzej czy później katolicy niemieccy w Austryi będą zmuszeni wystąpić ze składu większości. Owóż coraz częstsze są objawy, iż w obozie katolików niemieckich zaczyna się zwrot, będący pewnem rozluźnieniem stosunków łączących to stronnictwo z innemi stronnictwami prawicy. Najwymowniejszym tego objawem jest zamieszczona w berlińskiej *Germanii* korespondencya z Wiednia pochodząca z katolickich sfer niemieckich w Austryi. W korespondencyi tej rozporządzenia językowe Badeniego i Gautscha nazwano monstrualnemi, obstrukcyę niemiecką zupełnie uprawnioną akcyą samoobrony Niemców, abstynencyę posłów niemieckich w sejmie czeskim „moralnie Niemcom narzuconą". Żądanie, wyrażone w rozporządzeniach językowych, żeby każdy urzędnik w Czechach znał dobrze oba języki krajowe i żeby w urzędach państwowych i autonomicznych każdy mieszkaniec Czech znajdował prawo swoje w tym języku, w którym podanie jego było wniesionem, scharakteryzowano jako zamach na prawo narodowe ludności niemieckiej i jako wyraźny zamiar zczeszczenia jej, jako „eine naturrechtswidrige, staatsrechtliche Schrulle, die im Effecte das deutsche Volk deutscher Beamten und Richter berauben muss" (prawnopaństwowy kaprys, sprzeczny z prawem natury, którego rezultatem będzie to, że naród niemiecki pozbawiony zostanie niemieckich urzędników i sędziów). „Względność rządu austryackiego — pisze korespondent *Germanii* — zupełnie jest nie na miejscu wobec 6 milionów Czechów, którzy z natury rzeczy są skazani na znajomość „języka światowego 70 milionów Niemców", gdyż w takim razie i w Niemczech, gdzie żyje dużo Słowian, mianowicie Polaków, musieliby wszyscy urzędnicy umieć po polsku".

W nurtach Wisły utonął 27 z. m. pod Czerwińskiem około 18 osób i kilka sztuk bydła. Katastrofa, która wynikła z przeładowania łodzi przewozowych, byłaby przybrała groźniejsze rozmiary, bo na łodziach było 30 osób, gdyby nie energiczna pomoc dwojga wieśniaków z Czerwińska: Ignacego i Zofii Kruczów. Oni to, jedyni ze zgromadzonych na brzegu ludzi, odważyli się wsiąść do łódki i pospieszyć na pomoc tonącym. Temu też zawdzięcza życie około 12 osób, przy których ratunku trzeba było każdą z nich niemal przemocą wydobywać z wody, ponieważ tonący w rozpaczy pochwytali się jedni drugich i tworzyli ciężką, bezkształtną masę pozczepianych razem ciał ludzkich. Dlatego też prawdopodobnie nie udało się dzielnym Kruczom uratować i reszty ośmnastu osób, gdyż walka z ratowanymi trwała tak długo, że tymczasem owa reszta poszła na dno.

Awantura przy torze kolejowym. Dnia 28 z. m. napadło budnika, przy stacyi kolejowej w Kasinie wielkiej za Mszaną dolną, dwudziestu włościan,

idących do Limanowy na pobór wojskowy i mszcząc się za to, że budnik nie pozwolił im iść torem kolejowym, gdyż pociąg miał właśnie nadejść, obiwszy go śmiertelnie, napastnicy także wzięli się do mostu kolejowego, by go podkopać. Maszynista nadjeżdżającego właśnie pociągu z daleka spostrzegłszy to zemdlał. Dopiero żandarmi, po których telegrafowano, ocucili go. Napastnicy tymczasem ulotnili się. Czterech tylko ujęto, skuto i odstawiono do więzienia sądu obvodowego w Nowym Sączu.

Swięto robotnicze w Warszawie zakończyło się masowem aresztowaniem. W niedzielę, jako w przeddzień pierwszego maja, socyaliści w liczbie kilku tysięcy odbyli pochód z parku Ujazdowskiego ku Krakowskiemu Przedmieściu. Między pomnikami Mickiewicza i Kopernika zatrzymała ich konna żandarmerya, otoczyła i skierowała cały pochód ku dziedzińcowi jednego z domów. gdzie aresztowano około pięćset osób ze sfer robotniczych i studenckich.

Zamach samobójczy. Na tor kolejowy koło przystanku Bonarka-Podgórze-Płaszów rzucił się wczoraj rano z nieznanego powodu ukończony prawnik, Henryk Fiałko, syn pułkownika, w chwili gdy nadjeżdżał pociąg. Szczęśliwym trafem lokomotywa odrzuciła desperata, raniąc go tylko lekko w szyję.

W państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów stan moralności w rzeczywistości jest bardzo niski, co wykazały w ostatnich czasach liczne procesy. Przed tygodniem skończył się w Berlinie proces przeciwko krawcowi Guthmannowi, oskarżonemu o zamordowanie Berty Singer, kobiety lekkich obyczajów. Proces trwał 10 dni i kosztował 100 tysięcy marek, a odsłonił straszliwą demoralizacyę w niższych warstwach Berlina. Dla braku dowodów Guthmanna uwolniono i rzeczywistego mordercy nie wyśledzono. W Wrocławiu toczył się obecnie proces przeciw byłemu właścicielowi realności Hofmannowi, posądzonemu o zamordowanie dwóch żon, kilku kochanek i kilkunaściorga dzieci. Nie podajemy szczegółów tych zbrodni, nie chcąc drażnić nerwów czytelników. Hofmanna zasądzono na 15 lat więzienia. Dziś rozpoczyna się znowu przed sądem przysięgłych w Berlinie proces przeciwko balwierzowi Bussemu, posądzonemu o zamordowanie młodej kelnerki Hermann. Zepsucie obyczajów w Niemczech przybiera, jak widzimy, zastraszające rozmiary.

Ludwig Büchner, najwybitniejszy popularyzator darwinizmu w Niemczech, zmarł onegdaj w Darmsztadzie. Urodzony w Darmstadzie w r. 1824, obrał zawód lekarski; praktykował jakiś czas w mieście rodzinnem, a w r. 1852 habilitował się jako docent prywatny w Tübingen. Tam napisał najsławniejszą swą książkę „Siła i materya", która wyszła 1855 r. Dzieło to ogromnie się rozpowszechniło, nie tyle dla jakichś nowych idei, jak z powodu bezwzględności, z jaką teoryę materyalizmu wykładał. Późniejsze dzieła jego nie uzyskały już tej popularności, zwłaszcza, że coraz bardziej stawał się fanatykiem w swych poglądach i wszystkich, którzy inaczej niż on na rzecz się zapatrywali, atakował bardzo ostro. Może przyczyniło się do tego i pewne rozgoryczenie, wywołane tem, że wskutek wydania książki „Kraft und Stoff" musiał porzucić karyerę profesorską. W ostatnich czasach sława jego znacznie ucierpiała, a przez wielu był on uważany za typ uczonego, posiadającego wprawdzie wiele erudycyi, ale o ciasnym horyzoncie, nazbyt przekonanego o swej nieomylności. W każdym razie można mu przyznać zasługę, że rozbudził zainteresowanie się naukami przyrodniczemi w szerokich kołach publiczności.

Ruch kobiecy w Niemczech. Donosiliśmy niedawno o proteście studentów w Hali, sprzeciwiających się dopuszczaniu kobiet na wspólne wykłady w klinikach lekarskich. Berlińska liga kobiet odpowiedziała na ten protest adresem do rady związkowej, żądając dopuszczenia kobiet na studya i do egzaminów lekarskich. Uniwersytet w Giessen otworzył już swe podwoje kobietom; rząd w. ks. Badeńskiego oświadczył się także w duchu przychylnym dla studentek, które dopuszcza do konkursu na dyplom medycyny. W temże państewku otwierane są lycea dla dziewcząt. W Berlinie zarząd domów sierót zamierza oddać nadzór nad temi zakładami kobietom. Przeciwnie zaś koleje żelazne powzięły uchwałę nieprzychylną dla kobiet. Postanowiono, że urzędniczki pobierać będą o 100 — 200 m. mniej od personalu męskiego; 80,000 uczestniczek grupy feministycznej wniosło przeciwko temu protest do parlamentu. Domagają się one nadto utworzenia posady inspektorek dla fabryk i rękodzielni. Takie inspektorki istnieją w Bawaryi, Wirtembergii, w. ks. Heskiem, Sasko-Weimarskiem i innych państewkach rzeszy. Wreszcie z Monachium dochodzi wieść, że kobiety na mocy prawa, uchwalonego w dniu 1 stycznia rb., będą mogły brać udział w zebraniach politycznych.

Książę a córka śledziarza. Wielkie zaciekawienie na „obu półkulach" budzi związek, zawierający się pomiędzy przedstawicielem pierwszorzędnego rodu w Austryi, a córką byłego „śledziarza", co prawda dziś milionera. Małżeństwo pomiędzy arystokratami starej Europy, a bogatemi parweniuszkami nowego świata nie są rzadkością, w tym wypadku jednak zainteresowanie wzbudzają awanturnicze losy pana młodego. Urodzony w r. 1869 w Pradze, Franciszek książę von Auersperg, syn zmarłego niedawno prezesa ministrów, ks. Adolfa, służył początkowo w wojsku austryackiem, jako oficer pułku ułanów, lecz musiał z niego wystąpić z powodu karcianych długów. Nie wiedziano gdzie się podział przez lat kilka, dopiero niedawno dowiedziano się, że książę wyruszył do Ameryki, w charakterze kuchty okrętowego. Za przybyciem do New-Yorku, służył przy windzie w hotelu, wreszcie postanowił wstąpić na wydział medyczny; w trakcie tego poznał miss Florencyę Hazard i ten „hazard" przyniesie mu miliony, albowiem jest ona córką właściciela sklepu kolonialnego, pierwszorzędnej firmy w New-Yorku. P. Hazard rozpoczynał swoją karyerę od sprzedawania śledzi. Starszy brat ks. Franciszka, ks. Karol Auersperg, jest właścicielem rodzinnego majoratu w Czechach; jego siostra, Joanna, poślubiona jest ks. Rohan; druga, Aglae — Ferdynandowi hr. Kinsky'emu.

„Ragged regiment" czyli „pułk obdartych" znajduje się w Londynie, w opactwie Westminsterskiem. Jest to zbiór figur woskowych, przedstawiających podobizny królów i znakomitych ludzi angielskich. Opis tego zbioru podają teraz londyńskie dzienniki z powodu wspomnień, wywołanych trzechsetną rocznicą urodzin angielskiego lorda-protektora, Oliwera Cromwella. Pogrzeb protektora odbył się w opactwie Westminsterskiem w dniu 23 listopada 1658 r., po kilkunastodniowem trzymaniu zwłok na katafalku w Sommerset House. W pochodzie żałobnym, który z Sommerset ciągnął ku opactwu, był karawan, w trumnie jednak, zgodnie z ówczesnemi obyczajami, zamiast zwłok, leżała drewniana figura z twarzą woskową, ubrana w purpurę królewską, z berłem w dłoni, w bogato sadzonej kamieniami koronie królewskiej na głowie. Lalka ta była następnie włączona do zbioru figur woskowych w opactwie Westminsterskiem, czyli do „ragged regiment". Dziś w „pułku" tym nie ma już figury Oliwera Cromwella, a nikt nie wie, co się z nią stało. Prawdopodobnie była ona usunięta we dwa lata po śmierci protektora, gdy z rozkazu przywróconych na tron Stuartów zburzono sarkofag w opactwie Westminsterskiem, i zwłoki Cromwella wraz ze zwłokami Iretona i Bradshawsa były powieszone na szubienicy bez głów, głowy bowiem trzech królobójców przez lat kilkanaście tkwiły na masztach w halli opactwa Westminsterskiego, aż kiedyś, w czasie nocy burzliwej, czaszka Cromwella spadła i zabrana była do domu przez niewiadomego szyldwacha. Bardzo zresztą jest możliwe, iż resztki woskowej figury Cromwella znajdują się pod stosem lalek woskowych, przedstawiających królów i królowe z przed czasów Karola IIgo. Figury te, a raczej szczątki figur, przed stu laty usunięte z miejsc, przechowywane są w szafach zamkniętych.

Obecnie istniejący zbiór zawiera, oprócz Karola II-go w stroju rycerza orderu Podwiązki, figurę Franciszki Teresy, księżny Richmond z domu Stewart of Blantyre, zwanej *la belle Stevart*. Portret tej damy do dziś dnia widnieje na monetach angielskich jako „Brytania". W *ragged regiment* ma ona na sobie ten sam strój, który przywdziała na uroczyrtość koronacyi królowej Anny. Dalej w zbiorze zwraca uwagę figura, przedstawiająca Katarzynę Darnley, córkę Jakóba II-go. Osobliwie to muzeum figur woskowych, dostępne dla publiczności za opłatą kilku pensów, zawiera między innemi figury: jenerała Monka, księcia Buckingham i lorda Nelsona. Zwłoki tego ostatniego pogrzebano nie w opactwie westminsterskiem, ale w katedrze św. Pawła, w *ragged regiment* umieszczono jednak jego podobiznę woskową, ubraną w mundur, który admirał miał na sobie w czasie bitwy morskiej pod Trafalgarem.

Paryż nas naśladuje. Nareszcie Paryż, który nam ciągle przoduje i wszystkiego uczy, sam także i od nas czegoś się nauczył, najmodniejszą bowiem i najświeższą zabawą Paryżanek jest obecnie... strzelanie z łuku. Dla Paryżanek to rzecz niby nowa, a tymczasem u nas już od wieków kursuje popularna śpiewka: „Tere fere kuku" itd.

Po co Japonki wychodzą za mąż? W Japonii bardzo rozpowszechnionym jest zwyczaj poszukiwania towarzysza życia zapomocą inseratów dziennikarskich. Oto próbka takiego inseratu: „Ja niżej podpisana, jestem bardzo ładną dziewczyną, mam włosy krucze, twarz koloru lilii, cieniutkie brewki, kibić wiotką, jak trzcina Posiadam dostateczne fundusze, aby wraz z mężem prowadzić żywot spokojny, bez troski o jutro; aby módz z nim we dnie — podziwiać kwiaty, a nocami — blask księżyca. Jeżeli znajdzie się mężczyzna rozumny, piękny i ze smakiem wyrobionym, to gotowa jestem podać mu rękę i dzielić z nim wszelkie przyjemności za życia, a po śmierci — grób wspólny".

Dowcip Edisona. Jeden z reporterów amerykańskich pragnął koniecznie dowiedzieć się jaki był pierwszy i jaki ostatni wynalazek Edisona. Za pośrednictwem pięknych dam, otrzymał pozwolenie wybadania słynnego elektrotechnika. I oto co się dowiedział: „Gdy byłem jeszcze biednym roznosicielem gazet — mówił Edison — zdarzyło mi się raz wracać do domu z głową pełną wspaniałych planów, lecz z pustą kieszenią. Przeczytałem w gazetach, że u bankiera S. złodzieje podkopawszy podłogę, okradli kasę żelazną, co do której wszyscy byli pewni, że żaden złodziej nie da jej rady. Bankier S. był w rozpaczy, nie wiedząc już, jak zabezpieczyć swoje kapitały. Lecz ja na to znalazłem sposób. Po chwili stałem już przed bankierem S., który ze zdziwioną miną pytał się, czego chcę.

— Panie — zacząłem — słyszałem o nieszczęściu, jakie pana spotkało. Otóż wynalazłem sposób, za pomocą którego schwycisz każdego złodzieja, co się przybliży do twej kasy.

— A jakiej chcesz nagrody za to?

— Żadnej nie wezmę, tylko dasz mi córkę swą za żonę.

— To niepodobna! Dam ci 10,000 dolarów, lecz pod warunkiem, że przekonasz mnie dowodnie, iż za pomocą twojego wynalazku uda mi się przyłapać złodzieja na gorącym uczynku.

— Uczynię to, ale chcę koniecznie córki.

— Zgoda zresztą, jeżeli córka cię zechce.

Z tą nadzieją wróciłem do domu i zabrałem się do pracy. Po dwóch dniach przychodzę do bankiera i zastaję go w łóżku.

— Panie — mówię mu — wczoraj po ósmej chciałeś otworzyć kasę.

— Tak jest.

— Gdyś się dotknął zamka, zostałeś odepchnięty silnie przez prąd elektryczny i leżałeś zemdlony do rana.

— Tak jest, lecz...

— To mój wynalazek. Kto będzie dotykał kasy po zamknięciu kantoru, będzie leżał przy niej bez zmysłów, dopóki zechcesz — na zawsze nawet.

To był mój pierwszy wynalazek — skończył Edison.

— A córka bankiera? — spytał reporter ciekawie.

— Córka nie jest moją żoną, jak to każdemu wiadomo.

— A jaki był ostatni wynalazek?

Ostatni... to ta historya, którą na poczekaniu „wynalazłem"...

Leczenie włóczęgostwa metodą Kneippa. Patron leczenia wodą, śp. ks. Kneipp, nie marzył zapewne nigdy o tem, aby jego metoda miała być kiedyś zastosowaną i to z niemałym skutkiem, jako środek leczniczy w chorobach włóczęgostwa i domowstrętu. A jednak do tego już rzeczy doszły. — Sędzia pokoju w Dalfort, w Anglii, wpadł na genialny pomysł karania złodziei i włóczęgów. Rozkazał on mianowicie, aby każdego łotra tej kategoryi nietylko umieszczano na czas dłuższy w specyalnych domach pracy, ale nadto, aby tam dwa razy dziennie dawano mu przymusowe zimne kąpiele. — Wiadomo, że panowie ci mają szczególne obrzydzenie do wody, nowa ta kara zatem wydaje się im wprost nieludzką. Zapewne zupełną nowością ona nie jest, przypomina bowiem pewien rodzaj tortur zastosowywanych przed stu laty do niepoprawnych żebraków w Holandyi, gdzie delikwenta zamykano na kilka godzin do studni napełnionej zimną wodą ale jak się spodziewać należy, odniesie rezultaty pomyślne.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +5, w poł. +12 R. Bar. 764. Spada. Pogoda.

Uprzejmy.

— Wie pan, ile razy zaczynam grać, zaraz robi mi się smutno..

— I mnie także, proszę pani...

U fotografa.

Fotograf. Czy pan sobie życzy zdjąć się w stojącej czy siedzącej pozie?

Wieśniak. Lepiej siedząco panie... ja się dość nałażę przez cały rok po polach. *(Śmigus).*

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś we środę ku uczczeniu rocznicy Konstytucyi 3 maja przedstawienie popularne „Tamten", sztuka w 5 aktach Józefa Maskoffa. We czwartek po raz pierwszy „Paryżanka", komedya w 3 aktach Henryka Begna, występ G. Zapolskiej. W piątek z powodu przygotowań premiery „Koziołki" przedstawienia nie będzie. W sobotę „Paryżanka", ostatni występ G. Zapolskiej. W niedzielę po południu „Woźnica Henszel", sztuka w 5 Gerharda Hauptmana, wieczorem „Złoty cielec", komedya w 1 akcie Stanisława Dobrzańskiego i „Kontroler wagonów sypialnych", komedya w 3 aktach A. Bissona. W poniedziałek po raz pierwszy „Koziołki", krotochwila w 3 aktach Pawła Hirschbergera i Curta Kratza.

Część ekonomiczna.

§ **Ciągnienia.** Wczoraj odbyło się ciągnienie premiowe losów państwowych z r. 1860. Główna wygrana 300.000 złr. padła na seryę 12.313 numer 11; druga wygrana 50.000 złr. na s. 4.059 nr. 12; trzecia wygrana 25.000 złr. na s. 11.969 nr. 7. Po 10.000 złr. wygrały s. 3.004 nr. 1 i s. 10266 nr. 17. — Przy wczorajszem ciągnieniu włoskich losów Czerwonego Krzyża główna wygrana 35 000 lirów padła na seryę 6.606 nr. 1.—Przy ciągnieniu 3%-wych węgierskich losów hipotecznych główna wygrana 100.000 koron padła na seryę 3.198 nr. 35.

§ **Targ na bydło.** Wiedeń 1 maja. Na targ dzisiejszy dostawiono wołów galicyjskich 646, węgierskich 4192 i niemieckich 731, razem 5569 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze i lekkie 30 do 32, dobre ciężkie 33—34, osobliwe 35—36, za buhaje i krowy 20 do 30—32, wszystko na żywą wagę.

Teodor Romaszkan.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Klepa rzu.** Kraków 2 maja.

Pokup na zboże nie zwiększył się tak dalece, jednakowoż usposobienie wzmocniło się w ostatnim czasie i ceny pszenicy i żyta zdołały się cokolwiek podnieść. Jęczmień i owies napotykają odbyt trudny i w zwyżce cen nie partycypują wcale.

Płacono: pszenicę białą od 8.65—9.10, czerwoną 8.75 do 9.25 złr., żółtą 8.75 do 9.20 złr., żyto 6.80 do 7.50 złr., jęczmień browarny 6.25 do 6.75 złr., na krupy 5.75 do 6.00 zł., owies 6.40 do 6.60, rzepak —.— do —.— złr., konicz czerwony —.— do —.— złr., biały —.— do —.— zł., kukurudza —.— do —.— złr. wszystko za 100 kilogramów.

Gal. Bank dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 3 maja. Arcyks. Leopold Ferdynand odjechał stąd do Przemyśla.

U ministra skarbu d-ra Kaizla była deputacya Stowarzyszenia urzędników celnych i wręczyła mu petycyę w sprawie polepszenia awansów. Minister bardzo uprzejmie przyjął delegatów i obiecał petycyę gruntownie rozważyć.

Wiedeń 3 maja. Prezbiteryum wiedeńskiej gminy ewangelickiej augsburskiego wyznania ogłasza w dziennikach komunikat, w którym, aby uniknąć nieporozumienia, jakoby nie chciało zabrać głosu w sprawie agitacyi, prowadzonej pod hasłem „Los von Rom", oświadcza, że jako reprezentacya ewangelicka musi pragnąć, aby kościół ewangelicki w Austryi, uznany ustawami zasadniczemi, w swym rozwoju najmniejszego nie doznał uszczerbku. Gdy jednak ze stanowiska kościelnego zmianę wyznania tylko wtedy uszanować się godzi, gdy jest wypływem religijnego przekonania, przeto prezbiteryum musi zastrzedz się jak najenergiczniej przeciwko wyzyskiwaniu kościoła ewangelickiego dla jakichkolwiek celów politycznych.

Praga 3 maja. W sejmie czeskim namiestnik hr. Coudenhove odpowiedział na interpelacyę z powodu burzliwych zajść w Chebie, wywołanych rozprawą sądową dra Tieftrunka, na której adwokat Miricka przemawiał po czesku. Namiestnik oznajmił, że dał już odpowiednie polecenia dla ochrony Tieftrunka i adwokata dra Miricki. Pożałowania godne zajścia na ulicy w Chebie, spotęgowały się jeszcze przez to, że Miricka groził tłumom nabitym rewolwerem. Prezydent wyższego sądu krajowego wyraził wobec namiestnika zapatrywanie, iż zgodnie z istniejącemi przepisami, sędzia mógł był dopuścić, aby przemawiano także w języku czeskim, jednakże w samej sali sądowej należało się ściśle zastosować do jego poleceń Namiestnik potępia jak najostrzej wszelkie demonstracye i ekscesy, sprzeczne z uczuciami niemiecko-austryackiemi i z patryotyzmem austryackim i stwierdza z ubolewaniem, iż policya nie była dość silną, aby położyć kres demonstracyom. Niestety zjawiska takie w Czechach nie są odosobnione, i w innych miastach organa bezpieczeństwa okazują się wobec ekscesów za słabe. Gdyby stwierdzono jakiekolwiek nadużycia ze strony organów urzędowych, namiestnik wystąpiłby przeciw nim z całą surowością, musi jednak stanowczo zastrzedz się przeciw niesłusznym zarzutom. Zasadą mówcy była i będzie zawsze największa bezstronność i sprawiedliwość, od tej zasady nie odstąpi mimo gróźb i ataków, na które zresztą odpowiadać nie myśli.

Przy końcu posiedzenia przyszedł pod obrady wniosek Wydziału krajowego, tyczący się utworzenia sądu obwodowego w Klatowej. Poseł Baxa uderzał gwałtownie na administracyę kraju i wniósł rezolucyę tej treści, że sejm może tylko wtedy dać zezwolenie na utworzenie nowych sądów w mieszanych i niemieckich okręgach, jeżeli rząd zobowiąże się przestrzegać równouprawnienia czeskiego i niemieckiego języka. Poseł Skarda oświadczył imieniem młodoczechów, że oni bezwarunkowo obstają przy stanowisku, iż w całych Czechach powinno być zachowane nieograniczone równouprawnienie obu szczepów. Ponieważ zaś nie ma podstawy do przypuszczenia, że rząd tej zasady nie uznaje, oświadczył się mówca przeciw wnioskowi posła Baxy. Następnie wniosek ten odrzucono i przyjęto propozycyę Wydziału krajowego.

Budapeszt 3 maja. Cesarz przybył tutaj wczoraj po południu z Gödöllö. Dzisiaj odbędzie się rewia całego garnizonu.

Na cześć arcyksięcia Franciszka Ferdynanda odbył się wczoraj u prezesa gabinetu Szella wielki obiad.

Na wczorajszem posiedzeniu Sejmu w dalszym ciągu rozprawy nad ustawą o wprowadzeniu sądów wyborczych zabrał głos prezydent ministrów Szell i oświadczył, że ustawa ta ma na celu chronić czystość wyborów w trojakim kierunku: przed wpływami przekupstwa pieniężnego, przed nadużywaniem władzy urzędowej, wreszcie przed nadużywaniem Kościoła i religii dla celów wyborczych. Obrady następnie przerwano i odroczono do jutra.

Z powodu ostrej sprzeczki w Izbie deputowanych, odbył się wczoraj pojedynek na pałasze między deputowanymi Olay i Meczleny. Meczleny jest lekko ranny.

Berno (morawskie) 3 maja. Obecnie strejkuje tu już około 12 000 robotników tkackich. W dwóch fabrykach 10 godzinny dzień pracy istnieje już od pewnego czasu, w dwóch innych wczoraj został przyznany. Mimo to prawie połowa robotników, zatrudnionych w tych czterech fabrykach, po południu zawiesiła roboty. Do czterech innych fabryk, gdzie dotąd wogóle żadnych nie podnoszono żądań, bastownicy gwałtownie wtargnęli i zmusili robotników do przyłączenia się do zmowy, na co zgodzili się sami fabrykanci.

Wczoraj odbyło się zgromadzenie robotników, na którem poseł Hybesz wzywał bastowników, aby w zmowie wytrwali. Na dziś zapowiedziane drugie zgromadzenie. Przybył tu centralny inspektor przemysłowy radzca dworu Klein z Wiednia.

Rzym 3 maja. W parlamencie wybuchła gorąca utarczka między teraźniejszym gabinetem jenerała Pelloux'a, a członkami poprzedniego gabinetu margrabiego Rudiniego. Mianowicie zaatakowano teraźniejszego ministra spraw zagranicznych admirała Canevaro, oraz prezesa gabinetu jenerała Pelloux'a z powodu zamierzonego przez rząd włoski wzięcia w dzierżawę chińskiej miejscowości Sanmun. Zarzucono ministrowi spraw zagranicznych, że bez poprzedniego porozumienia się z parlamentem, wdał się w to przedsięwzięcie bezcelowe i niebezpieczne, które rokuje Włochom taki sam odwrót, jakiego dokonały z afrykańskiej kolonii Erytrei. Minister Canevaro usunął od siebie znaczną część odpowiedzialności za to przedsięwzięcie, które wedle jego twierdzenia było wdrożone przez poprzedni gabinet na dowód zaś odczytał pismo byłego podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych Bonina, wystosowane do byłego ministra marynarki w gabinecie Rudini'ego.

„Z tego pisma wynika — rzekł Canevaro — że teraźniejszy gabinet prowadzi w dalszym ciągu akcyę, którą rozpoczęło poprzednie ministeryum". Z tego powodu Rudini oświadczył, że zachodzi wielkie nieporozumienie, albowiem on sam i minister spraw zagranicznych w jego gabinecie margr. Visconti Venosta nigdy nie myśleli o porcie Sanmun i zaboru jego przez Włochy wcale nie pochwalają.

Cała ta dyskusya wykazała, że wprawdzie poprzedni gabinet myślał o zdobyciu jakiejś dzierżawy w Chinach, lecz na oku miał coś innego, a nie port Sanmun.

Przeciwko wydzierżawieniu tej miejscowości zwraca się opinia publiczna prawie jednogłośnie, a ponieważ rząd jenerała Pelloux bardzo się w tę sprawę zaangażował, przeto, jak ogólnie mniemają, jedynem dla niego wyjściem będzie ustąpienie od steru. Głoszą tedy, że jen. Pelloux niebawem poda się do dymisyi.

Rzym 3 maja. Rada gabinetowa zbierze się dziś przed południem celem obradowania nad sytuacyą parlamentarną. Jak donoszą dzienniki, minister spraw zagranicznych Canevaro ma zamiar podać się do dymisyi. Gdyby się to sprawdziło, to prawdopodobnie cały gabinet poda się do dymisyi.

Paryż 3 maja. Według doniesienia „Ajencyi Havasa" minister spraw zagranicznych Delcassé oświadczył w radzie gabinetowej na podstawie otrzymanych urzędowych doniesień, iż podane w jednem z pism angielskich rzekome tajne sprawozdanie rosyjskiego ministra skarbu Wittego nigdy nie istniało i jest prostym falsyfikatem.

Wczoraj zebrała się znowu izba deputowanych. Prezydent Deschanel odczytał liczne interpelacye. Prezydent ministrów Dupuy wniósł, aby dyskusyę nad interpelacyami, które dotyczą sprawy Dreyfusa, odroczyć, aż zapadnie uchwała trybunału kasacyjnego. Wniosek ten po krótkiej rozprawie przyjęto.

Charleroi 3 maja. Liczba strejkujących w tutejszym rewirze węglowym robotników powiększa się i doszła już do 25.000 Dla braku węgla musiano zastanowić ruch w wielu hutach żelaza, w innych ograniczono znacznie produkcyę.

Berno 3 maja. W fabryce Skazki stawiło się dzisiaj około 90 robotników do pracy. Przed południem jednakże przybyło kilkudziesięciu bastowników, którzy groźbą starali się powstrzymać ich od pracy. Przy interwencyi właścicieli fabryki, pracy istotnie zaprzestano.

Hohenstein w Czechach) 3 maja. Władze wydaliły około stu robotników włoskich, sprawców wczorajszych zaburzeń i zarządziły potrzebne środki, aby wydaleni natychmiast wyjechali. Dalszych zaburzeń nie było.

Wiedeń 3 maja. Cesarz zamianował Antoniego Schmidta audytorem garnizonu w Przemyślu. Nieczynnymi lekarzami-asystentami mianowani: dr. Mieczysław Biliński w Rzeszowie, dr. Leon Sochacki w Złoczowie, dr. Leon Nunberg, dr. Władysław Kędzierski i dr. Stanisław Górski w Przemyślu, dr. Franciszek Pekiewicz w Rzeszowie, a dr. Dawid Hacker w Stanisławowie.

Oficerem rachunkowym w stanie nieczynnym został Henryk Tiezl w Krakowie.

Wiedeń 3 maja. Prezydent ministrów hr. Thun wyjeżdża w przyszłym tygodniu do Budapesztu.

Konstantynopol 3 maja. Ormiańsko-katolicki patryarcha Azarian zmarł tutaj.

Wiedeń 3 maja. W ministerstwie finansów pod przewodnictwem min. dr. Kaizla odbyła się wczoraj narada w sprawie wypracowanego przez ministerstwo skarbu projektu nowego regulatywu dla towarzystw akcyjnych. W obradach konferencyi wzięli udział prócz referentów min. skarbu także reprezentanci innych ministerstw. Chodzi o przedyskutowanie nowego projektu, poczynienie w nim pewnych potrzebnych zmian i uzupełnień. Dyskusya tak postąpiła, że jest nadzieja ukończenia jej już na następnem posiedzeniu. W ten sposób przyjdzie do skutku ta prowizoryczna reforma przepisów akcyjnych.

HOTEL IMPERIAL

(pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia)

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 3 maja. S. Jędrzejowicz z Jasionki. M. Plater i G. Kolnitz z Kurlandyi. J. H. Schumer z Wiednia. W. Rozwadowska z Przemyśla. S. Zarewicz z Rudenki. R. Schlesinger z Wiednia. A. Gołkowski z Krakowa. G. Kraus z Lincu. J. Kątny z Łodzi. E. Schnell z Brodów. J. Kohn z Wrocławia. L. Zabłocki z Płowego. H. Hornstein z Kijowa.

HOTEL FRANCUSKI — Lwów.

Przyjechali dnia 3 maja. JE. fmp. v. Urich z Wiednia. P. Kęplicz z Stanisławowa. P. Kozłowski z Stryja. W. Durra z Monachium. P. Słotwiński z Niedawy. Fr. Bayer, J. Kühn, inż. Luke z Wiednia. P. Skarzyńska z Szwejkowa. Inżynier Rouveure z Paryża. Inż. Boroday z Petersburga. J. Takacz z Budapesztu. K. Schartelmuller z Wiednia. P. Szaibowa z Hnizdyczowa. P. Niewiarscy z Wołynia. P. Aschenbrenner z Pragi. P. Holcner z Grottau (Czechy). T. Gułkowski z Krakowa.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 maja. Hr. M. Borkowski z Mielnicy. Pułkownik Dębicki i J. Teodorowicz z Stanisławowa. K. Winnicki z Turad. Pułkownik Glückmann i major Hauschka z Wiednia. T. Witosławski i J. Rappe z Borszczowa. Dr. Niementowski z Zbaraża. M. Drahanowska z Kamionki.

Lwów 3 maja. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 310·00 do 312·— Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 292·00 do 295·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 385.— do 395·—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205 — do 218 . Tow. budowy wagonów w Sanoku 258 — do 265·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 200·00 do 201·0

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110.20 do 110·90 4 i pół proc. los. w 50 lat 100. — do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 61 lat 100 — do 101·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·— do 98·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.50 do 98·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los w 56 lat 95·90 do 96·60.

Wiedeń 3 maja. (Giełda towarowa). Spirytus 17·20—17·40. Nafta galicyjska bez zmiany. Cukier 14·50—14·65.

Berlin 3 maja. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·65. Spirytus 40·40.

Paryż 3 maja. (Zamknięcie giełdy). Trzyproceutowa renta 102·10. Mąka na miesiąc bieżący 43·—.

Frankfurt 3 maja. (Wczorajsza giełda wieczorna). Kredyty austryackie 223·90; kolej państwowa 154·50; alpiny 000·00; disconto 199·45; lama 253·70.

Wiedeń 3 maja. (Giełda zbożowa). Pszenica na wiosnę 9·03—9·04, na maj-czerwiec 8·78—8·79, na jesień 8·38—8·39; żyto na wiosnę 7·93—7·95, na maj-czerwiec 7·63—7·65, na jesień 6·96—6·98; kukurudza na maj-czerwiec 4·68—4·70, na czerwiec-lipiec 0·00, na lipiec-sierpień 4·82—4·84; owies na wiosnę 6·03—6·04, na maj-czerwiec 6·02—6·03, na jesień 5·90—5·92; rzepak na sierpień-wrzesień 12·30—12·40; olej rzepakowy na maj 30½—31½, na wrzesień-grudzień 0·00. Tendencya silna. Pogoda: pada deszcz.

Budapeszt 3 maja. (Giełda zbożowa). Pszenica na maj 8·80—8·82, na październik 8·28—8·30; żyto na maj 7·05—7·15, na październik 6·75—6·79; kukurudza na maj 4·43—4·44, na maj-czerwiec 4·50—4·51, na lipiec 4·57—4·58; owies na maj 5·70—5·72, na październik 5·58—5·60; rzepak na sierpień 12·30—12·40. Popyt na pszenicę dobry. Tendencya niezmieniona. Pogoda: pochmurno.

52)

Tajemnicze morderstwo

POWIEŚĆ

przez

Fortunata du Boisgobey.

(Ciąg dalszy).

— Tak, lecz kłamie, twierdząc, iż spotkał mnie w owym dniu. Wiesz przecie mój drogi, że po raz pierwszy jestem w Bretanii.

— Nie on kłamie, ale pan — zawołał Mériadec, doprowadzony do ostateczności — to pan zamordowałeś mojego ojca.

— Na tak niedorzeczny zarzut nie mam nawet odpowiedzi. Wprowadziliście mnie w jakąś zasadzkę, przekupiwszy tego chłopa, aby przeciwko mnie świadczył. Za takie postąpienie na innem miejscu zażądam satysfakcyi. Tymczasem widzę się zmuszonym opuścić dom, w którym w ten sposób obchodzą się z gośćmi.

Baron przygotowywał się do odwrotu, lecz trzej przyjaciele go otoczyli.

Panowie — rzekł, zbliżając się Percey — nie przedłużajmy niepotrzebnie tej przykrej sceny. Wracajmy do pałacu; po drodze wytoczę sprawę panu d'Ambre. Chodź baronie, a wy, panowie, raczcie postępować za nami.

Wszyscy milczeli.

D'Ambre zrozumiał odrazu, iż pozostawała mu jedynie szansa porozumienia się z dawnym swoim przyjacielem.

Percey i baron szli obok siebie, o dziesięć kroków naprzód.

Gouville i dwaj kuzyni, tworzyli odrębną grupę.

W tyle postępował Jeannic.

Bretończyk ów był bardziej inteligentnym, niż można było sądzić z pozoru, odegrał bowiem doskonale swą rolę. Teraz trzymał się na uboczu, aby być gotowym do dalszych rozporządzeń.

Trzej przyjaciele nie zajmowali się nim wcale.

Obserwowali zdala barona i Percey'a i nie mogąc słów dosłyszeć, po giestach usiłowali odgadnąć treść rozmowy.

Widocznem było, iż Percey formułował oskarżenia, baron zaprzeczał im.

Była chwila, w której Percey sięgnął ręką do kieszeni tużurka, jak gdyby dla okazania dowodu: zapewne listu kapitana, lecz baron powstrzymał go ruchem ręki, wyrażającym jasno, iż jestto zbytecznem.

— No — mruknął przez zęby Gouville — zdaje mi się, że niebawem Percey wyda wyrok.

Pochód w tym samym porządku minął las, a następnie pusty pałacowy dziedziniec.

Tu Percey odprawił Jeannica do izby czeladnej, zalecając mu milczenie, poczem wraz z baronem podążył na taras; za nim trzej przyjaciele.

— Panowie — rzekł im — obaj z Gouvillem przed udaniem się na ten spacer, zadecydowaliśmy, iż sprawa może być jedynie załatwioną z bronią w ręku.

— A więc p. d'Ambre przystaje? — zapytał Gouville.

— Prosi o to — odparł Percey, kładąc nacisk na te słowa.

Widocznie baron, przyciśnięty do muru, wybrał pojedynek, przekładając go nad głośny skandal i interwencyę policyi.

Wyglądał na osaczonego bandytę, postanawiał snać bronić się do ostatniego i sprzedać drogo życie.

Mériadec i Pontcroix nie śmieli protestować przeciwko wyrokowi Perceya, najstarszego i najbardziej wytrawnego z pośród nich.

— Mój drogi Gouvillu — rzekł chłodno Percey — p. d'Ambre za przeciwnika obrał ciebie.

— Wdzięczny mu jestem za to odznaczenie — szepnął Gouville

— Nie pozostaje mi, jak ułożyć warunki spotkania. P. d'Ambre, jak ci wiadomo, jest niepokonanym na szpady również jak i na pistolety. Dla zrównoważenia szans, wybrałem pojedynek na strzelby... po amerykańsku.... P. d'Ambre się zgadza.

— I ja także.

— Należy więc tylko obrać plac, dość rozległy i ustronny, aby nikt was nie dojrzał.

— Opodal od Króla-Dębu jest polanka — wtrącił Mériadec, rzucając na barona spojrzenie pełne nienawiści.

P. d'Ambre ani drgnął na tę aluzyę do popełnionej zbrodni.

— Pocóż iść tak daleko? — rzekł Percey — odpowiedniejszą będzie ta oto wysepka.

Wskazywał palcem na wyłaniającą się z morza, a odległą o sto metrów od wybrzeża skałę.

— Możemy bez wzbudzenia podojrzeń iść tam ze strzelbami — wtrącił Pontcroix. — Ktoby nas spotkał po tej drodze, byłby pewien, że idziemy na mewy. Pełno ich na tej skale, dostępnej zresztą..

— Podczas odpływu — objaśnił Mériadec — za jakie dwie godziny zniknie zupełnie pod wodą.

— Tem lepiej... morze zatrze wszelkie ślady, a i to dobrze, że grunt tam zapewne nierówny i ci panowie nie będą mogli się widzieć. Sam ich ustawię, wrócę na wybrzeże i pozostanę tam wraz z p. de Roscauval i p. de Pontcroix aż do końca walki. Przeciwnicy użyją moich strzelb angielskich, które są zupełnie nieznane obu. I cóż powiadasz na taki program, kochany Jakóbie.

— Jestem gotów — odparł Gouville.

— P. d'Ambre nie pytam o zdanie. Zgodził się z góry na wszystko, co postanowię. A teraz muszę panów obznajomić z jego warunkami. Prosi on, aby po spotkaniu, jeśli wyjdzie zeń cało, wolno mu było odjechać. W zamian zobowiązuje się opuścić Francyę na zawsze. Muszę przytem dodać, iż wręczył mi oblig, podpisany przez kapitana de Roscauval. Gdyby d'Ambre padł od kuli, rozpuścimy wieść, iż zginął na polowaniu.

— Wszak uwierzono podobnej pogłosce po morderstwie, dokonanem na moim ojcu — wtrącił Mériadec z goryczą.

— Pewnym będąc, iż propozycya moja zostanie przyjętą — ciągnął dalej Percey, nie zwracając uwagi na tę przerwę — przygotowałem broń i naboje. Leżą w sieni zamkowej. Czy jest jaka droga, wiodąca prosto do wybrzeża?

— Tak, z tarasu.

— Pójdziemy nią... lecz wpierw oświadczam panom, że pragnąłbym zająć miejsce przyjaciela mojego Jakóba i proszę o ustąpienie mi go. Uprzedziłem już o tem p. d'Ambre i w razie potrzeby, zmuszę go, aby przyjął mnie za przeciwnika.

— Nie zgadzam się na taką substytucyę — zaprotestował energicznie Gouville.

Mériadec i Paweł czynili sobie w duszy gorzkie wyrzuty, iż pozwalają narażać życie Jakóbowi, dla pomszczenia kapitana, który nie był ani jego ojcem, ani też wujem.

Mieli nadzieję, iż Bóg ustrzeże go od śmierci.

Percey nie dał im jednak czasu na rozmyślania.

— Jeannic jest w izbie czeladnej — rzekł — może tam pozostać. Już go nie potrzebujemy.

Było to jasne bardzo oświadczenie, iż baron przyznał się do spotkania z szewcem w lesie Quélern, w końcu zimy roku 1887, na kwadrans przed śmiercią p. de Roscauval.

— Czy zechcecie, panowie, zabrać pudełka ze strzelbami, które pozostawiłem w sieni — ciągnął dalej Percey. — Klucze od nich mam w kieszeni.

Paweł i Mériadec, jak zahypnotyzowani jego stanowczością, spełnili to polecenie Perceya.

— A teraz — zakomenderował, gdy powrócili, niosąc pudełka — wskazujcie nam drogę.

Baron d'Ambre w milczeniu postępował o kilka kroków po za młodzieńcami; pochód zamykał Percey z Gouvillem.

Szli wzdłuż wybrzeża.

— Przyznał się, wszak prawda? — pytał Jakób przyjaciela.

— O tyle, o ile człowiek podobny może się przyznać do zbrodni. Przystąpiłem do badań bez ogródki. Wykazałem mu, iż jest zgubiony, gdyż Jeannic go poznał, a ja mam w kieszeni list kapitana. Nie przeczył nawet, czynił mi natomiast gorzkie wyrzuty, iż go wprowadziłem w zasadzkę. Zaproponowałem mu pojedynek ze sobą, na co mi odpowiedział, że bić się będzie nie z kim innym, jeno z p. Gouville. Zrozumiał, iż jesteś najniebezpieczniejszym jego wrogiem i że jeśli zdoła pozbyć się ciebie, uniknie może zasłużonej kary. Musiałem uledz.

— Dobrześ zrobił.

— Ten człowiek jest uosobieniem zimnej krwi i czelności. Wyobraź sobie, że jeszcze i teraz chciał odgrywać komedyę, twierdząc, iż nie miał nigdy zamiaru upominać się o pieniądze, które wygrał w karty od p. de Roscauval; ofiarował mi zwrot obligu. Przyjąłem tę propozycyę, on zaś postawił swoje warunki. Niech cię nie dziwi, żem się na nie zgodził: trudno jest bardzo wydawać w ręce policyi człowieka, z którym się żyło ściśle, choćby nawet człowiek ten był skończonym łotrem. Otóż obiecałem mu, że jeśli go nie zabijesz, pozwolę mu się oddalić w spokoju. Co ma wisieć, nie utonie, mój drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Czerlańskiej. — Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów Hotel George.